

Rok XXXIII

Nr e-153 (349)

Lipiec 2019

NA SZLAKU

Turystyka – Krajoznawstwo – Góry

Magazyn turystyczno-krajoznawczy



Z NASZEGO REGIONU

Autobusem na sudeckie wycieczki po okolicach Wałbrzycha pod koniec lat 40. XX w. (część trzecia – 1949 r.)	<i>Bartosz Skowroński</i>	3
Zwycięstwo polskich ułanów pod Strugą	<i>Krzysztof Tęcza</i>	6
Kilka zdań o Vernéřovicach	<i>Bartosz Skowroński</i>	7
Do nieba i z powrotem, czyli wędrówka na Skalny Stół od przełęczy Okraj	<i>Alicja Kliber</i>	8
W Trzmielowej Dolinie	<i>Krzysztof Gdula</i>	10

OJCZYSTE SZLAKI

Suchary i inne ścieżki poznawcze	<i>Tomasz Kowalik</i>	13
--	---------------------------------	----

WYGODNIE I BEZPIECZNIE

Zanim wyruszysz – – dekalog turysty górskiego z komentarzem	<i>Juliusz Wystouch</i>	15
--	-----------------------------------	----

GLOBTROTER

Alpejski Breitenberg z niespodzianką	<i>Ryszard M. Remiszewski</i>	17
Cztery domy	<i>Mirosław J. Barański</i>	20
Na wakacje do Maroka	<i>Marokańska Narodowa Organizacja Turystyki w Polsce</i>	22

Z TURYSTYCZNYCH KRĘGÓW

Jubileusz 60-lecia Koła Nauczycielskiego PTTK nr 30 przy Oddziale ZNP Jelenia Góra	<i>Krzysztof Tęcza</i>	24
Śladami uczestników jeleniogórskiej wyprawy na Annapurnę	<i>Krzysztof Tęcza</i>	26
Złot Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków w Stanisławowie	<i>Krzysztof Tęcza</i>	28
Przewodnicy sudeccy w ogrodzie japońskim „Siruwia”	<i>Krzysztof Tęcza</i>	32

SYLWETKI „NA SZLAKU”

Sergiusz Jastrzębski	<i>Janusz Fuksa</i>	34
--------------------------------	-------------------------------	----

RECENZJE I NOWOŚCI

Stąd panował książę Sziurpa	<i>Tomasz Kowalik</i>	36
Jest wiele bram do starej puszczy	<i>Tomasz Kowalik</i>	37

LISTY, OPINIE, DYSKUSJE

Martwica z Grochowej	<i>Alicja Kliber</i>	39
--------------------------------	--------------------------------	----

Na okładce: Wędrówka z dziećmi w Beskidzie Śląskim. Fot. Juliusz Wystouch

Autobusem na sudeckie wycieczki po okolicach Wałbrzycha pod koniec lat 40. XX w. (część trzecia – 1949 r.)

Jeżeli niektórzy w sylwestra 1948 r. marzyli już o turystycznych przejazdach liniowymi autobusami Państwowej Komunikacji Samochodowej po okolicach Wałbrzycha, które mogłyby odbywać w 1949 r., musieli się liczyć z podwyżką cen biletów za przejazd. Wrocławska „Gazeta Robotnicza” z 31 grudnia 1948 r. informowała bowiem o zatwierdzeniu przez Ministerstwo Komunikacji podwyżki taryf. Miała ona obowiązywać już od 1 stycznia nowego roku¹.

Również ci, których zadowalały przejazdy w granicach Wałbrzycha lub w jego bliskiej okolicy pojazdami kursującymi na liniach obsługiwanych przez Międzykomunalne Zakłady Komunikacyjne w Wałbrzychu (wówczas były to zarówno tramwaje, trolejbusy, jak i autobusy), także musieli być przygotowani na nowe ceny biletów za przejazd, które wprowadzono od 1 lutego 1949 r. Najwięcej miało się płacić za bilet autobusowy, nieco mniej za trolejbusowy, a najmniej za tramwajowy². W 1949 r. wycieczka z wałbrzyskiego śródmieścia do Gaju autobusem (o ile nadal tam jeździł) była więc droższa niż wycieczka tramwajem do Szczawna-Zdroju.

W pierwszych miesiącach 1949 r., nieco bliżej Wałbrzycha, dało się dojechać regularną linią do Poniatowa, wzdłuż którego sporej części zabudowań płynie potok Poniatówka. O istniejącym tam połączeniu można znaleźć informacje w prasie ze stycznia i maja 1949 r.³ W prasie jest wzmianka o przepełnieniu kursującego tam pojazdu⁴. Ale jeśli były wolne miejsca, kto wie, może znaleźli się i tacy, którzy wybierali się do Poniatowa na wycieczkę. Dlaczego tak zaakcentowałem informacje o komunikacji zbiorowej do Poniatowa w prasie ze stycznia i maja 1949 r.? Otóż dlatego, że później autobusy przestały bodaj w ogóle tam kursować. Przemawiać za tym może wzmianka prasowa z października 1949 r.⁵ Dokonując jedynie wybiórczej kwerendy prasowej nie dotarłem jednak do szczegółów dotyczących tego, z jakich przyczyn i od kiedy autobusy przestały tam dojeżdżać.

Z kolei ci, którzy w pierwszych miesiącach 1949 r. chcieli odbywać wycieczki po okolicach Wałbrzycha wykorzystując linie autobusowe Państwowej Komunikacji Samochodowej, mieli do wyboru dwie trasy – do Świebodzic i Walimia⁶. Liczba tras tych linii była taka sama, jak pod koniec 1948 r. Wielkiego wyboru nie było. Należy pamiętać, że do Walimia jeździły nadal pociągi. Wybierający się tam z Wałbrzycha koleją musieli jednak co najmniej raz się przesiąść⁷. Można też było, dla urozmaicenia, w jedną stronę pojechać pociągiem, a w drugą autobusem. Przejechać dało się także pociągiem pomiędzy Świebodzicami i Wałbrzychem⁸. Zainteresowani okolicą, w tym miłośnicy podziwiania krajobrazów ze środków transportu, mieli więc doskonałą okazję, aby i tam w jedną stronę pojechać autobusem, zwiedzić miasto,



Chełmiec (851 m n.p.m.) latem 2013 r. Górę tę mogli zobaczyć także pasażerowie liniowych pojazdów kursujących pod koniec lat 40. XX w.

¹ „Nowe opłaty na liniach PKS”, „Gazeta Robotnicza”, Wrocław, nr 14, 31 grudnia 1948 r.

² Zob. np. Międzykomunalne Zakłady Komunikacyjne Wałbrzych, „Taryfa Międzykomunalnych Zakładów Komunikacyjnych w Wałbrzychu, obowiązująca od dnia 1.II.1949 r.”, „Gazeta Robotnicza”, BW, nr 29 (43), 30 stycznia 1949 r., s. 10.

³ Brak tytułu, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, ABC, nr 13 (782), 14 stycznia 1949 r., s. 4; (zm) „Wałbrzyska książka zażeń. O autobusie do Poniatowa”, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, ABC, nr 26 (795), 27 stycznia 1949, ABC, s. 4; (zm) „Zagórze – to wałbrzyskie Bielany. Kto rozwiąże problem komunikacji dla niedzielnich wycieczek za miasto?”, „Słowo Polskie”, ABC, nr 135 (904), 18 maja 1949 r., s. 4.

⁴ Brak tytułu, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, ABC, nr 13 (782), op. cit.

⁵ (smm) Tekst w rubryce „Szczotką ryżową”, „Upominamy się o Poniatów”, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, nr 277 (1046), 8 października 1949 r., s. 6.

⁶ „Okręgowy Rozkład Jazdy ważny 3.X.1948 r. –14.V.1949 r. II Okręg Komunikacyjny (Południowy Zachód)”.

⁷ Ibidem.

⁸ Ibidem.

po czym wrócić do Wałbrzycha pociągiem. Jadąc do Świebodzic autobusem mogli popatrzeć m.in. na niektóre wzniesienia Pogórza Wałbrzyskiego – na przykład na wyższe partie Liska (399 m n.p.m.). Bo chyba regularne autobusy jechały wówczas tak, jak przebiega w 2019 r. droga nr 35, z której można Liska zobaczyć. W drugą zaś stronę, jadąc pociągiem, spragnieni widoków mogli znów obserwować trasę, którą wjeżdża on stopniowo coraz wyżej, wykorzystując także fragment doliny Lubiechowskiej Wody. Z pociągu było też widać podnóża kilku wzniesień Pogórza Wałbrzyskiego, w tym... dolne zbocza wspomnianego Liska, widziane jednak z innej strony, a więc zupełnie inaczej. Taka wycieczka dla wielu mogła stanowić wielką atrakcję. W ciągu jednego dnia mogli bowiem turystycznie przejechać się autobusem, zwiedzić miasto, po czym pojechać pociągiem. Widoki, piękne budowle, różne środki lokomocji – urozmaicenia dość sporo.

Tymczasem turystów, jak i mieszkańców Wałbrzycha zainteresowanych wycieczkami po okolicach, mogła ucieszyć nieco (mając na uwadze plany ewentualnych wyjazdów turystycznych) lektura artykułu pt. „Nowe linie autobusowe będą uruchomione w pow. wałbrzyskim”, który ukazał się w numerze 63. „Wałbrzyskiego Słowa Polskiego”. Wynika z niego, że miejscowościami w okolicach Wałbrzycha, do których utworzenie połączeń autobusowych uznawano wtedy za najpilniejsze, były: Stare Bogaczowice, Sokołowsko, Gorce i Boguszów. Wskazano też, że *PKS może jednak uruchomić wspomniane linie autobusowe dopiero z chwilą otrzymania odpowiednich pomieszczeń na urządzenie bazy autobusowej*.⁹ Szczególnie dla mieszkańców Starych Bogaczowic i Sokołowska, do których to miejscowości nie dojeżdżał wtedy bodaj żaden środek regularnej komunikacji zbiorowej, taka zapowiedź była zapewne ważna. Z drugiej strony, uruchomienie tam połączeń z Wałbrzycha mogło też zainteresować potencjalnych turystów. Wszak już przejazd do obu wymienionych ostatnio miejscowości mógł być przyjemnym uzupełnieniem turystycznego pobytu w Wałbrzychu i jego okolicy.

Skończyła się zima, nastąpiła wiosna, a wraz z nią maj 1949 r. Co takiego szczególnego wydarzyło się wówczas w kontekście tematu niniejszego artykułu? Zaczął obowiązywać nowy rozkład jazdy Państwowej Komunikacji Samochodowej¹⁰. Nie pojawiły się w nim jednak żadne nowe trasy do innych miejscowości w okolicach Wałbrzycha, w porównaniu z tymi, które istniały w czasie obowiązywania poprzedniego rozkładu jazdy. W jego tabelach nie figurują bowiem np. rozkłady do Sokołowska czy Starych Bogaczowic. Zmieniono nieco trasy przejazdu kilku linii z Wałbrzycha czy też godziny odjazdów i przyjazdów. Udogodnieniem dla turystów było jedno połączenie więcej na dobę na trasie Wałbrzych – Walim. Tak samo o jeden autobus więcej kursował w przeciwnym kierunku. Niestety w tabelach rozkładu, który zaczął obowiązywać w maju 1949 r., nie figurowały też np. Boguszów, Gorce czy Czarny Bór. Autobusy łączące Wałbrzych z Jelenią Górą, które być może przejeżdżały np. przez Czarny Bór, miały wyznaczone przystanki jedynie w Kamiennej Górze, Kowarach i Mysłakowicach¹¹. Nadal więc do dyspozycji turystów, chcących poznawać okolice tytułowego miasta z wykorzystaniem regularnych linii autobusowych Państwowej Komunikacji Samochodowej, pozostawały dwie trasy – jedna do Świebodzic, druga do Walimia. Jednak w prasie z maja 1949 r. można znaleźć wzmiankę o jakimś połączeniu pomiędzy... Boguszowem i Sobięcinem¹². Wnioskować więc można, że do Boguszowa jakieś autobusy wtedy kursowały. Na podstawie wybiórczej kwerendy nie udało mi się jednak ustalić, jaki przewoźnik i na jakiej trasie je obsługiwał. Ale o problematyce dojazdu do Boguszowa w 1949 r. będzie jeszcze niżej.

Dlaczego jednak nadal nie było połączeń z Wałbrzycha do innych okolicznych miejscowości? Być może przyczyna tkwiła w trudnościach lokalowych Państwowej Komunikacji Samochodowej w tym mieście. Wszak, jak wynika z powołanej już wyżej prasy, uruchomienie linii np. do Starych Bogaczowic i Sokołowska uzależniane było od otrzymania przez PKS pomieszczeń. Tymczasem w numerze 147. „Słowa Polskiego” wzmiankowano, że autobusy obsługujące połączenia pomiędzy Wałbrzychem i Walimiem *zmuszone są z braku garaży nocować w wypożyczonych garażach*¹³. Boguszów, Gorce, Jedlina-Zdrój, Głuszycy, Kuźnice Świdnickie (wtedy nazywane Kuźnicą Świdnicką), Mioszów i Stare Bogaczowice – to miejscowości, z którymi, według wzmianki prasowej, *należałoby jeszcze przeprowadzić połączenia*¹⁴. Jak więc wyglądała sprawa transportu autobusowego do Boguszowa, skoro nadal był wskazany pomiędzy ww. miejscowościami? Czy faktycznie żadna regularna linia autobusowa nie miała tam wyznaczonego przystanku, czy też dojeżdżały do tego miasta jakieś autobusy? A może chodziło jedynie o zwiększenie liczby kursów do Boguszowa? W tym samym kontekście być może wymieniono w powołanym artykule Jedlinę-Zdrój czy Głuszycę. Bo przecież do obu, według rozkładu jazdy¹⁵, pod koniec maja 1949 r. miały kursować autobusy.

Według wzmianki prasowej z maja 1949 r. podobno pojawił się wówczas zamiar uruchomienia w niedziale komunikacji samochodowej pomiędzy Wałbrzychem i... Chełmcem¹⁶. Górę tę, przy odpowiedniej widoczności, mogli obserwować z Kotliny Wałbrzyskiej np. pasażerowie tramwajów kursujących pomiędzy Wałbrzychem i Szczawnem-Zdrojem. Na podobne widoki nie mogli liczyć w maju 1949 r. pasażerowie pragnący dojechać regularnie kursującymi autobusami z Wałbrzycha do Starych Bogaczowic, ponieważ... wtedy takie bodaj nadal nie jeździły. Z lektury 209. numeru „Słowa Polskiego” można się było dowiedzieć, że

⁹ (em) „Nowe linie autobusowe będą uruchomione w pow. wałbrzyskim”, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, ABC, nr 63 (832), 5 marca 1949 r., s. 4.

¹⁰ „Państwowa Komunikacja Samochodowa. Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 15 V do 1 X 49 r.”

¹¹ Ibidem.

¹² (jar) Informacja w rubryce „Notatnik Wałbrzyski”, „Słowo Polskie”, ABC, nr 146 (915), 29 maja 1949 r., s. 6.

¹³ (em) „Znikną tramwaje w Wałbrzychu, zastąpią je z czasem trolleybusy”, „Słowo Polskie”, nr 147 (916), 30 maja 1949 r., s. 4.

¹⁴ Ibidem

¹⁵ „Państwowa Komunikacja Samochodowa. Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 15 V...”, op. cit.

¹⁶ (zm) „Zagórze – to wałbrzyskie Bielany...”, op. cit.

planowano jednak uruchomienie tam połączenia¹⁷. Jednak wydaje się, że około połowy października 1949 r. do Starych Bogaczowic nic jeszcze nie jeździło, bowiem na łamach „Wałbrzyskiego Słowa Polskiego” z 17 października tegoż roku zwracano się do MZK o uruchomienie linii łączącej tę wieś z Wałbrzychem¹⁸. Również do MZK, tyle że w listopadzie tego samego roku, zwracano się o połączenie autobusowe pomiędzy Wałbrzychem a Rybnicą Leśną i Unisławiem Śląskim¹⁹. Połączenia także i z tymi miejscowościami mogły zainteresować potencjalnych turystów.

Wspomniany 17 października, a tym bardziej listopad 1949 r., był to już czas obowiązywania nowego rozkładu jazdy Państwowej Komunikacji Samochodowej²⁰. W rozkładzie tym, ważnym od 2 października 1949 roku, pojawiły się pewne nowości, jeżeli chodzi o połączenia z miejscowościami w okolicach Wałbrzycha. I tak, dało się już dojechać autobusem PKS z Wałbrzycha do Boguszowa. Zatrzymywały się tam pojazdy kursujące na liniach łączących Jelenią Górę z Kłodzkiem. Piszę o liniach w liczbie mnogiej, ponieważ autobusy jeździły dwiema różnymi trasami. Nadal jednak w rozkładzie brakowało wielu miejscowości z okolic Wałbrzycha, przez które autobusy tych linii być może przejeżdżały – np. Gorce czy Czarny Bór. Pojawiło się za to dogodnie dla turystów połączenie pomiędzy Wałbrzychem a Głuszcą Górną. Było ono realizowane w dni robocze po cztery razy na dobę w każdym z kierunków. Codziennie natomiast z Wałbrzycha do Głuszycy Górnej pojazdy odjeżdżały dwa razy na dobę – o 10:20 i 16:20. Z rozkładu wynika też, że każdego dnia odjazd z Głuszycy Górnej do Wałbrzycha był możliwy o 11:20 i 17:20. Trasa liczyła 20 km, a pojazdy miały ją pokonywać w 38 minut. Pomiędzy miejscowościami krańcowymi istniały początkowo tylko trzy przystanki: Glinka, Jedlina-Zdrój i Głuszycy Dolna²¹. Później, jeszcze w 1949 r., na trasie tej linii pojawił się jednak dodatkowy przystanek na żądanie w Jedlinie²². Interesującą z krajoznawczego i krajobrazowego punktu widzenia trasę mogli, wraz z rozpoczęciem obowiązywania ostatnio wymienionego rozkładu jazdy, odbywać też pasażerowie pojazdów łączących Wałbrzych z Kłodzkiem przez Walim i Nową Rudę. Z Wałbrzycha można było bowiem dojechać nie tylko do Jugowic czy Walimia, ale również np. do Rzeczek. Ci, którzy podróżowali jeszcze dalej, np. do Sokolca, mieli bodaj przy tym okazję przejechania szosą prowadzącą przez Przełęcz Sokolą (754 m n.p.m.). Z rozkładu wynika, że codziennie dało się dojechać z Wałbrzycha do Walimia oraz do Rzeczek cztery razy na dobę. Tyle samo kursów obsługiwano w przeciwnym kierunku. A jakie przystanki znajdowały się na odcinku Wałbrzych – Rzeczek? Były to przystanki oznaczone w rozkładzie jako: Wałbrzych dw. kol., Jugowice, Walim oraz Rzeczek²³. Tak, tak, ten ostatni przystanek wymieniony był jako Rzeczek, nie zaś Rzeczek. Jak widać, nadal nie było przystanku w Olszynie. W listopadzie 1949 r. apelowano jednak o uruchomienie na tej linii stałego przystanku autobusowego w tej miejscowości²⁴. Nadal sporo kursów Państwowa Komunikacja Samochodowa realizowała pomiędzy Wałbrzychem a Świebodzicami. Z Wałbrzycha przez Świebodzice przejeżdżały np. pojazdy na trasie Wałbrzych – Świdnica – Wrocław czy też Kłodzko – Dzierżonów – Świdnica – Wałbrzych – Jelenia Góra. Także więc i do tego miasta można było pojechać na wycieczkę korzystając z pojazdów PKS²⁵.

Jak widać z powyższego, do wielu miejscowości w okolicach Wałbrzycha nadal nie dało się dojechać regularnym autobusem Państwowej Komunikacji Samochodowej. Oczywiście do niektórych dotrzeć można było innymi środkami lokomocji, ale i tak nie wszędzie. Planowanie wycieczek do wielu atrakcyjnych miejsc czy obiektów było więc utrudnione. Potencjalni turyści, po wejściu w życie rozkładu jazdy ważnego od 2 października 1949 r., mieli jednak, jeżeli chodzi o liczbę tras, nieco większe niż wcześniej możliwości przemieszczania się liniowymi autobusami po okolicach Wałbrzycha.

Już w czasie obowiązywania ostatnio wymienionego rozkładu nastąpiły zmiany dotyczące organizacji i zakresu działania przedsiębiorstwa państwowego Państwowa Komunikacja Samochodowa²⁶. Ba, jeszcze wcześniej poddano to przedsiębiorstwo działaniu dekretu o tworzeniu przedsiębiorstw państwowych²⁷. Ale przecież dla odbycia wycieczki z wykorzystaniem liniowego autobusu nie miało to raczej bezpośrednio żadnego znaczenia.

Rozkład jazdy ważny od 2 października 1949 r., o którym wyżej mowa, miał obowiązywać do 13 maja 1950 r.²⁸ Ale lata 50. XX w. nie są już tematem tego artykułu.

Bartosz Skowroński

¹⁷ (zm) „Źródła lepsze niż w Solicach. Stare Bogaczowice będą uzdrowiskiem”, „Słowo Polskie”, nr 209 (978), 1 sierpnia 1949 r., s. 4.

¹⁸ (em) Informacja w rubryce „Notatnik Wałbrzyski”, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, nr 286 (1055), 17 października 1949 r., s. 6.

¹⁹ (ja) Informacja w rubryce „Zagadnienia”, „Apel do MZK”, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, nr 324 (1093), 24 listopada 1949 r., s. 4.

²⁰ „Państwowa Komunikacja Samochodowa. Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 2 X do 13 V 50 r.”

²¹ Ibidem.

²² (ki) Informacja w rubryce „Notatnik Wałbrzyski”, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, nr 335 (1104), 5 grudnia 1949, s. 6.

²³ „Państwowa Komunikacja Samochodowa. Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 2 X...”, op. cit.

²⁴ (ja) Informacja w rubryce „Szczotką ryżową”, „Wzdychają do przystanku PKS”, „Wałbrzyskie Słowo Polskie”, nr 316 (1085), 16 listopada 1949 r., s. 10.

²⁵ „Państwowa Komunikacja Samochodowa. Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 2 X...”, op. cit.

²⁶ Zob. m.in. Zarządzenie Ministra Komunikacji z dnia 28 listopada 1949 r. o zmianach dotyczących organizacji i zakresu działania przedsiębiorstwa państwowego pod nazwą: „Państwowa Komunikacja Samochodowa” (tekst ogłoszony – M. P. 1949, nr 98, poz. 1163).

²⁷ Zob. Rozporządzenie Rady Ministrów z dnia 30 maja 1949 r. w sprawie poddania przedsiębiorstw państwowych: Polskie Linie Lotnicze „Lot”, Polskie Biuro Podróży „Orbis” i „Państwowa Komunikacja Samochodowa” – działaniu dekretu z dnia 3 stycznia 1947 r. o tworzeniu przedsiębiorstw państwowych.” (tekst ogłoszony – Dz.U. 1949, nr 36, poz. 257).

²⁸ „Państwowa Komunikacja Samochodowa. Rozkład Jazdy wraz z postanowieniami przewozowymi i taryfowymi ważny od 2 X...”, op. cit.

Zwycięstwo polskich ułanów pod Strugą

W sobotę 11 maja 2019 roku miała miejsce rekonstrukcja bitwy pod Strugą nieopodal Szczawna-Zdroju, często nazywanej bitwą na Czerwonym Wzgórzu. Tym razem wzięły w niej udział regimenty z Polski, Czech, Słowacji, Niemiec i Belgii. Najważniejsi, chociaż najmniej liczni, byli ułani, a najbardziej widowiskowi – obsługujący armaty. To właśnie ich działania, armatnie salwy, pióropusze ognia i ten niesamowity huk stanowiły przedmiot zainteresowania przybyłej na pokaz publiczności. I wcale nie przeszkadzała zła pogoda. Deszcz był niczym w porównaniu z tym, co działo się na polu bitwy. A tam co rusz oddziały konne atakowały piechurów, zapędzały się nawet na tyły wroga, by unieszkodliwić armaty. To jednak im się nie udawało.

Rekonstrukcja to widowisko, ale jak było naprawdę? Otóż oddział ułanów Legii Polsko-Włoskiej pod dowództwem majora Piotra Świdzkiego 14 maja 1807 roku stanął na nocleg w Strzegomiu. Gdy główne siły odpoczywały, zwiad pod dowództwem kapitana Fijałkowskiego wyruszył na objazd okolicznych wiosek, by zdobyć potrzebne zaopatrzenie. Na swojej drodze spotkali podjazd generała Charlesa Lefebvre-Desnouettesa. Ten natychmiast ich zawrócił i poinformował dowódcę o zbliżających się wojskach pruskich. Dowódca Prusaków major Karl von Losthin podążył ze swymi oddziałami w stronę Dobromierza. Wkrótce na drodze pomiędzy Starymi Bogaczowicami a Strugą wypatrzyły ich wojska francuskie, które natychmiast udały się w rejon Czerwonych Wzgórz. Wtedy już nie było wyboru – potyczka stała się nieunikniona. Przynajmniej tak się wtedy wydawało. Szybko okazało się, że będzie to prawdziwa bitwa.

Piechota pruska liczyła około tysiąca żołnierzy. O godzinie 11 otwarto ogień. Ułani nadwiślańscy ruszyli do boju. Pierwszym szwadronem dowodził kapitan Fortunat Skarzyński, drugim kapitan Fijałkowski. Szarża ułanów rozniosła stanowiska pruskich strzelców. Do niewoli wzięto 13 oficerów i ponad 300 żołnierzy. Ze względu na duże starty po obu stronach, miejscowa ludność uważa, że ziemia w okolicy ma czerwony kolor od krwi poległych żołnierzy.

Dzisiaj, po dwóch wiekach od tamtego wydarzenia, uważa się, że ułani Legii Polsko-Włoskiej odnieśli spektakularne zwycięstwo, które było zupełnym zaskoczeniem dla strony pruskiej. Nic też dziwnego, że ułani po przejściu liczącej 1800 km trasy z Neapolu, zostali uhonorowani za zasługi w walce Krzyżami Kawalerskimi Legii Honorowej. Odznaczenia wręczono podczas przeglądu wojsk w Bayonne 29 maja 1808 roku. Dla żołnierzy ważniejszym od odznaczeń był fakt uznania ich waleczności na polu bitwy przez pokonanych.



Krzysztof Tęcza

Kilka zdań o Verněřovicach

Pomiędzy dwoma czeskimi miastami noszącymi nazwy Meziměstí i Teplice nad Metují znajdują się Verněřovice. Tytułowa miejscowość jest chyba mniej znana turystom niż wymienione miasta, warto jednak i do niej zawitać.

Większość zabudowań Verněřovic położona jest w dolinie Verněřovického potoku, na terenie Broumovskiej kotliny, będącej częścią Meziměstskiej vrchoviny. Ciek ten bierze zaś początek już na krańcu Polickiej stupňoviny. Ta ostatnia jest częścią Polickiej vrchoviny. Zostawmy jednak dalsze podziały geograficzne rejonu Verněřovic. W końcu jeśli turyści mają do nich przybyć, to chyba nie tylko po to, aby rozmyślać o tym zagadnieniu. A w jakim celu warto tu zawitać? Co można tu zobaczyć?

Nie tylko miłośnikom architektury sakralnej w centrum Verněřovic rzuci się w oczy tutejsza świątynia. Mowa o barokowym, wzniesionym w XVIII w., kościele pw. św. Michała. Położony powyżej Verněřovického potoku, na jego prawym brzegu, jest prawdziwą dominantą zabudowy.

Blisko kościoła, jednak już po lewej stronie doliny potoku, miłośników architektury związanej z transportem zbiorowym zainteresować może z kolei wiata przystanku autobusowego. Jest w niej nawet wnęka z oszklonymi oknami.

Z lewego brzegu doliny Verněřovického potoku, w centrum miejscowości, będąc w pobliżu drzewa, do którego przymocowane są drogowskie szlaki, warto tymczasem popatrzeć, tak ogólnie, na krajobraz centralnej części Verněřovic. Piękny to widok, mimo że nie zobaczymy stąd żadnej rozległej panoramy gór. Nie chodzi tu bowiem o podziwianie z dołu odległych górskich szczytów, ale o krajobraz terenu zabudowanego. Wszak płynący potok i most nad nim, pnąca się nieco do góry szosa oraz malowniczo położone budynki to także widok godny zobaczenia.

Skoro już wspomniałem o drzewie, dodam też, iż z tej centralnej części Verněřovic warto przespacerować się kawałek, zgodnie z przebiegiem szlaku czerwonego, w kierunku Meziměstí, aby zobaczyć... inne drzewo. W rejonie, w którym wspomniany szlak skręca z chodnika w lewo (idąc od strony ww. świątyni), rośnie Verněřovická lípa. Oprócz niej w oczy rzuca się też słupek z dwiema tabliczkami i znak szlaku. Na jednej z tablic turyści mogą przeczytać napis: *PAMÁTNÝ STROM*. Na drugiej jest trochę informacji o tym pięknym drzewie.

Z centrum Verněřovic warto też pomaszerować za znakami szlaku czerwonego w drugą stronę, w górę doliny potoku. Celem wędrowki może być wówczas chociażby rejon krucyfiks na



Drogowskazy szlaków w centrum Verněřovic



Nad studánkou (Nad Studánkou)

postumencie, nieco za zabudowaniami, na wysokości ok. 485 m n.p.m. Zobaczymy stamtąd zupełnie inny krajobraz niż ten, który mogliśmy obserwować w centralnej części miejscowości. Trochę tylko w odległości widoczny jest z tego miejsca, o ile pogoda na to pozwala, grzbiet o nazwie Nad studánkou (albo Nad Studánkou), będący po prostu kuestą, czyli progiem denudacyjnym. Grzbiet ten należy już do wspomnianej na początku Polickiej stupňoviny. Okolice krucyfiksów to doskonałe miejsce do obserwowania, jak dość płaska w tym rejonie Broumovska kotlina nagle przechodzi w ww. stupňovinę. To jednak nie wszystko, co można stąd zobaczyć. Przy odpowiedniej widoczności, z zupełnie innej strony ładnie prezentują się też w odległości Javoří hory.



Krucyfiks, o którym mowa w tekście

Ci, którzy z rejonu krucyfiksów zdecydowali się tymczasem powędrować czerwonym szlakiem dalej w stronę widocznego na horyzoncie lasu, będą mogli dojść np. do miejsca, w którym do jednego z drzew, już na początku lasu, przymocowana jest tabliczka zawierająca m.in. nazwę *VERNĚŘOVICKÁ STUDÁNKA*. Widząc taki napis od razu można mieć skojarzenie z jakimś źródłem. I słusznie. Wprawdzie z czerwonego szlaku z trudem można dostrzec niewielką kapliczkę o białej elewacji stojącą nad wypływem wody, ale taki się tam znajduje. Doskonale za to widać w tym miejscu budynek, który ukończono na początku XX w. jako kościół. Dodać trzeba, że nie jest to jedyny obiekt w tym rejonie. Czerwony szlak też nie jest tu jedyną znakowaną trasą turystyczną. Można by jeszcze pisać, nie tylko o tym, ale zgodnie z tytułem miało być kilka zdań. Wyszło ich zaś i tak bardzo dużo.

Oczywiście tematu nie wyczerpałem. Turyści w rejonie Verněřovic zobaczyć mogą bowiem znacznie więcej. Samo dojście do tej miejscowości czerwonym szlakiem, czy to z Meziměstí, czy to z Teplic nad Metují, daje szansę odbycia interesującej pieszej wycieczki górskiej. Podczas niej dane może być wędrowcom podziwianie pięknych krajobrazów i poznawanie innych atrakcji tego malowniczego i leżącego blisko Polski zakątka czeskich Sudetów.

Bartosz Skowroński

Do nieba i z powrotem, czyli wędrówka na Skalny Stół od przełęczy Okraj

Szczyt Skalny Stół bardzo subiektywnie uważam za najpiękniejsze miejsce w Karkonoszach. Spokojne, nierozdeptane przez tłumy prawdziwych i „nieprawdziwych” wędrowców. Oczywiście nie wszędzie byłam i nie wszystko widziałam, ale trochę... Na Skalny Stół podchodziłam, z powodzeniem, dwa razy.

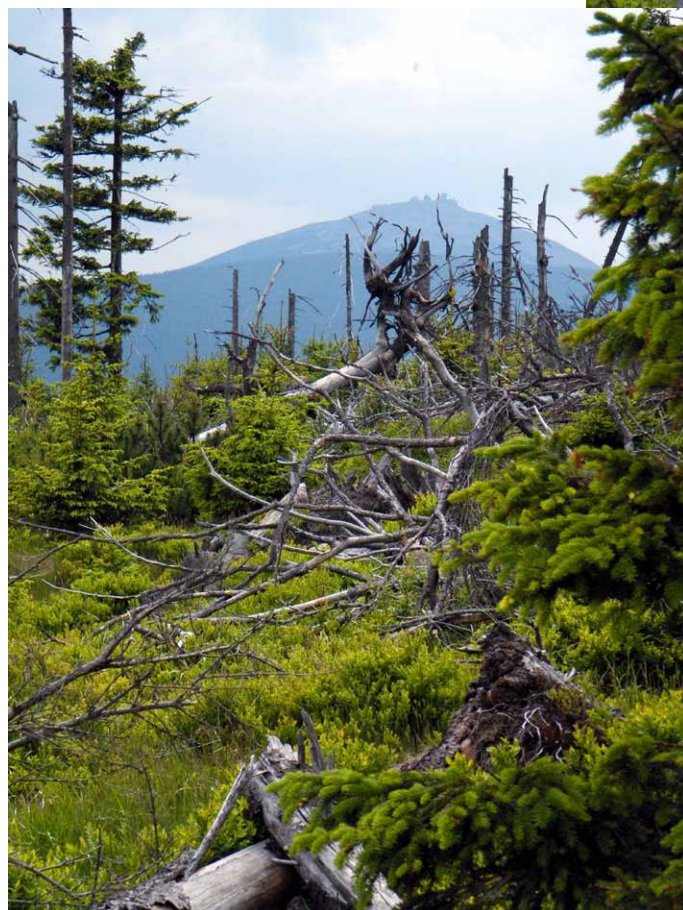
Dawno temu od Kowar, ponad 8-kilometrowy marsz, mozolnie, krok po kroku w górę. Drugi raz od przełęczy Okraj już krótszy, bo około 3 kilometrów. I ten odcinek był właśnie drogą do nieba. Najtrudniejszy jest pierwszy odcinek do Czoła, bo wtedy pokonuje się stromizną górę. Wówczas widać kamienie i zieleń. Chwilami jak po schodach, przez jakichś sześć dziesięciopiętrowych budynków. Potem już ścieżka biegnie prawie płasko i tam zaczyna się magia miejsca...

Mocno zniszczone drzewa to niemi świadkowie dramatów karkonoskich szczytów, tak mocno tarposzonych przez mroźne zimowe, wiosenne, letnie i jesienne wichury. Ścieżka obiega co większe korzenie i wychodnie gnejsowe, żeby wygodnie przechodziły zwierzęta i ludzie... w takiej właśnie kolejności, bo zwierzęta są tu u siebie, a ludzie tylko gośćmi w ich domu. Taka właśnie ścieżka biegnie dalej i dalej w stronę szczytu, w stronę kamiennego stosu i... niebiańskich widoków dostępnym tylko orłom.

W czerwcu pachniały dzikie bzy, a krzewinki górskich czarnych jagód, wysokich po kolana, swoją zdrową zielenią zapowiadały urodzaj późnego lata. Potem wełnianki jak puszki i roje owadów, i małe łąki wysokogórskie ze swoją trawą, i jarzęby górskie, i białe brzozy, pokręcone, ale szczęśliwe witają każdego wędrowca. Mnie też witały. W takiej scenarii dobrze się oddycha, a serce bije coraz szybciej i szybciej. Endorfiny zalewają ciało i duszę. W takim miejscu jestem trochę onieśmielona, jakbym weszła bez pozwolenia do czyjegoś mieszkania... Jeszcze spojrzenie w stronę domu. Tam daleko, za horyzontem, widzę i rozpoznaję prawie wszystkie moje pagórki. W takim momencie wiem, że wszystko co kocham powinno być ze mną w górach.

Nagle zdziwienie, że już jestem przy słupku z opisem, nazwą, wysokością, ostrzeżeniem o granicy z Czechami i parku narodowym. Trochę poniżej jest ten „stół”.

To magiczne miejsce, do którego trzeba przynosić kamienie, żeby stawało się wyższe i wyższe. Stąd roztacza się mój ukochany widok: w stronę Śnieżki, czeskich wiosek i schroniska Jelenka, a w drugą stronę trochę przysłonięty – na Kowary,



Rudawy Janowickie, Góry Kaczawskie i dalej, dalej... aż do końca widocznego świata. Na Skalnym Stole nawet kamienie „żyją”. To na nich rosną porosty oddychające czystym powietrzem... Tak to widziałam i tak to zapamiętam na zawsze. Wrócę tam kiedyś.

Staralam się roztoczyć obraz tego rajku w górach, gdzie chce się śpiewać. Kocham nasze Sudety i wiele ich szczytów widziałam, ale obraz Skalnego Stołu ciągle mam przed oczami. Skalny Stół jest jak wspomnienie ekstazy, pierwszej miłości, łyku chłodnej wody po wysiłku, jak... dotknięcie Anioła.

Alicja Kliber



W Trzmielowej Dolinie

Wracałem z gór nie planując wyjazdu już na jutro, ale tyle usłyszałem w radiu zapewnień o słońcu, tyle pochwał jutrzejszej aury, że zdecydowałem wziąć wolne i wrócić. W rezultacie po powrocie robiłem wszystko naraz, miotając się po kempingu, żeby jak najszybciej zakończyć przygotowania i położyć się spać. Wcześniej się nie dało, ale nie zliczę już niedospanych nocy, więc ta jedna nie czyni różnicy. Nieco spóźniony ruszyłem w drogę, za cel wybierając koniec szosy w Komarnie, blisko najwyższych szczytów i mojej Trzmielowej Doliny.



Wschód oglądany z okolic Ziemskiego Kopczyka

Gdy doszedłem do swojego widokowego miejsca pod Ziemskim Kopczykiem, słońce na palec wzniosło ponad horyzont. Zamglone, czerwone, jakby zmęczone nocnym odpoczynkiem albo świeceniem przez całe lato. Szukałem wokół siebie tego wyjątkowego światła pierwszych minut dnia, gdy słońce świeci poziomo, mało rozjaśniając a wiele barwiąc, ale nie zobaczyłem. Jednak nieco później, gdy wdrapało się wyżej na nieboskłon, rozjaśniło gębusię czyniąc dzień ciepłym i słonecznym.

Mało było dni spędzonych w tych górach tak leniwych, jak dzisiejszy; chyba nawet dziesięciu kilometrów nie przeszedłem, ale jeśli miałbym miarę wrażeń i zadowolenia przyłożyć do miary odległości, niewątpliwie okazałyby się nieporównywalnie dłuższa. Jedynie wejście na szczyt Folwarcznej wyróżniało się konkretnością celu.

Byłem tam raz, kilka lat temu, jednak drogę w lesie pamiętałem dobrze i doszedłem szybciej niż Ariadna prowadzona sznurkiem, a na szczycie zobaczyłem widok dość charakterystyczny dla tych gór: dwie przybite do drzewa tabliczki podające dwie nazwy szczytu i dwie różne jego wysokości. Wczoraj przechodziłem obok Zazdrośnika, jednej z trzech gór o tej nazwie, a to powtórzenie nie jest wyjątkiem. Chyba nikt nie odczuwa potrzeby ujednolicenia i uporządkowania nazw kaczawskich.

Wyszedłem na otwarte przestrzenie i tam, w obrębie paru kilometrów, spędziłem cały dzień, włócząc się gdzie chęć, widok, wspomnienie albo jego brak mnie pchnęły. Odwiedzałem znane kąty, wchodziłem w do-

tychczas nieznanne; skręcałem z drogi zobaczywszy ładne drzewo, grupę urodziwych brzoź albo wspomniawszy jakąś chwilę sprzed lat. Szedłem rozglądając się, zatrzymywałem oddając się swojemu, coraz bardziej lubianemu, gapieniu się na świat, siadałem na ciepłej ziemi, patrzyłem na liście prześwietlone słońcem i słuchałem wiatru. Kontemplowałem urodę słonecznego dnia najpiękniejszej jesieni.

Rok temu widziałem w zakątku Trzmielowej Doliny



Trzmielowa Dolina ze zbocza Ogiera

kępkę drzew i parę krzewów, wśród nich mały głóg trzymający jeden jedyny swój owoc; zobaczyłem go i dzisiaj, obejrzałem dokładnie, ale nie znalazłem żadnego owocu. Schował przede mną? W innym miejscu dwie jarzębiny i dąb zdecydowały żyć wspólnie, niemal w przytuleniu, czego nie omieszkała wykorzystać róża. Zwykle jej dłuższe pędy kładą się, a ta jakby wiedziała, że jeszcze jeden wysiłek, jeszcze niewiele centymetrów, a złapie się konaru jarzębiny – jak to już zrobiło kilka sąsied-



Okolice Trzmielowej Doliny

nich pędów. Stoją więc wyprostowane na sporej wysokości, a patrząc na nie, ma się nieodparte wrażenie, że sięgają ku konarom drzewa. Objąwszy je wyskakują w górę, tam sadowią się w nasłonecznionym miejscu i intensywnie owocują. Widziałem listki i owoce róży wśród jarzębinowych gałęzi kilka metrów nad ziemią.

Spotkawszy gdzieś orzech włoski, wziąłem garść jego owoców, które na biwaku próbowałem rozgnieść używając rękojeści kija jako młotka i podeszwy buta jako kowadła, ale bezskutecznie. Później, siedząc pod lipą w Lipowej Dolince, zobaczyłem kamienie, wziąłem dwa i nareszcie dobrałem się, wielce z siebie zadowolony, do orzechów. Ciekawe, czy mój daleki pradziad wpadłszy na taki pomysł jako pierwszy, też był tak z siebie zadowolony...

Przyjrzałem się wyjątkowo zgrabnemu świerkowi, ale patrząc na drzewo zwątpiłem. Na pewno świerk? Podszedłem bliżej, a chcąc obejrzeć korę wszedłem nawet pod jego niskie konary, w cień tak głęboki, jaki widać się o świcie listopadowego dnia. Świerk, ale... jakiś inny. Ech, za mało, stanowczo za mało wiem. Patrząc na kilka innych drzew chciałem rozpoznać gatunki po liściach, ale nie dość, że wymieszane były, to i wiatr tak nimi szarpał, że odruchowo podszedłem bliżej i spojrzałem na pnie. Odruch ten i jego skuteczność wynagrodziły mi wcześniejszą niepewność, jako że na ogół łatwiej jest rozpoznać gatunek po liściach niż po pniu. Jeśli już o drzewach piszę, wspomnę grupę niesamowicie wysokich i strzelistych świerków, smukłą i nieba sięgającą brzozę-modelkę, i modrzew ze świerkiem – dwa drzewa jakże podobne swoim pędem ku górze. Niestety, była tam ogrodzona szkółka leśna, nie mogłem podejść bliżej. Ich rzadko spotykaną sylwetkę utrwaliłem na zdjęciu.

Zszedłem na samo dno Trzmielowej Doliny. Są tam źródlika wielu strumyków, miejsca wiecznie mokre, z uginającą się pod butami darnią, gdzie łatwo wpaść w czarne, rzadkie błoto, z którego trudno wyciągnąć nogę. Są tam strumyczki łączące się kilka metrów dalej w strumyki, które niewiele niżej wpadają do większego



go strumienia; są gęszcza tarniny, prawdziwy laszek głogów, szuwały, mocny zapach zieleni i wilgoci. Jest to matecznik zwierząt z licznymi ich ścieżkami, a wśród splątanych gałęzi drzew słychać ptasi harmider. Ponad niskie przedmurze krzewów wyrastają drzewa. Są olsze, trafiają się dęby i osiki, ale wzrok przyciągają piękne o tej porze i licznie tam rosnące czereśnie. Trudno tam wejść, dostępu bronią kolczaste krzewy, ale gdy znajdzie

Trzmielowa Dolina



Wysoczka

się między drzewa i zobaczyłem błyski wody między uschniętymi badyłami i gałęziami na dnie miniaturowego jaru. Gdyby uporządkować nieco to miejsce, byłoby urokliwe – pomyślałem. Samo źródło znajdowało się parę metrów dalej, poszedłem tam i stanąłem porażony widokiem: między drzewami leżało kilka gnijących bel siana, a w miejscu źródła była kupa złomu, jakby stare kuchenki i pogieęte blachy.

Nigdy nikogo nie uderzyłem, chyba nawet nie wiem, jak się to robi, ale bywają chwile, gdy żałuję tej swojej nieumiejętności. Tak było nad źródłem.

Tak się nie robi – powie ktoś? Bardzo źle, że się nie robi, ponieważ do pewnej grupy ludzi tylko takie argumenty trafiają i trafić powinny, skoro prawo jest tutaj bezsilne lub obojętne, a tłumaczenie wandalowi nieodpowiedniości takich praktyk jest równie skuteczne, jak próba wyjaśnienia krowie prawa ciężenia.

Z rana trafiłem na niewykoszoną łąkę, a wśród jej wysokich traw znalazłem kilka kań. Wziąłem je i przez resztę dnia odruchowo myszkowałem wzrokiem po łąkach w poszukiwaniu grzybów. Nie znalazłem, więc kończąc łąkę wróciłem na tamtą łąkę i znalazłem ich jeszcze kilkanaście. W ciągu następnych dwóch dni na obiady miałem smażone kanie. Pychotka.

Myszkując wzrokiem wśród traw, znalazłem kilka gatunków przekwitłych kwiatów i zaciekawiony pochyliłem się nad nimi. Właśnie tyle, tylko tyle trzeba, żeby dać sobie szansę zobaczenia niedostrzeżanego do tej chwili uroku natury: zatrzymać się i nachylić. Te resztki letniego kwitnienia są dla mnie anonimowe, ot, zwykłe rośliny łąkowe, ale czyż nie są ładne nawet teraz, gdy minął najpiękniejszy ich czas?

Krzysztof Gdula



Sokoliki i Wysoczka

NA SZLAKU
www.na-szlaku.net

**Polub nas
na Facebooku!**

Suchary i inne ścieżki poznawcze

Znakowane od 1879 roku szlaki turystyczne z biegiem lat „rosły w ilość, aby turystom wędrowało się wygodniej”. Turystyka i krajoznawstwo stawały się coraz bardziej zajęciami podobnymi do lekcji w szkole albo do spaceru przedszkolaków powiązanych przez Panią sznurem, aby się nie pogubili. Tak doszło do wzbogacenia nazewnictwa tras banalnie prostych wykapek i wycieczek za miasto oraz najbardziej karkołomnych szlaków w skalistych – nie tylko polskich – górach.

Towarzystwo Tatrzańskie, wcześniej – bo już w 1873 roku – Galicyjskie, a następnie Polskie TT, przyznało sobie przywilej „ułatwiania dostępu do gór”, czyli malowania kolorowych pasków na pniach drzew i skałach. Zaczęto budować ścieżki dla wygody amatorów zwiedzania gór. Historycy znakowania za pierwszy szlak uważają dzieło Leopolda Wajgiela w Karpatach Wschodnich – na Howerlę. Kolejne fakty znakowania przypisane są anonimowemu znakarzowi, który oznakował w 1879 roku trasę do Morskiego Oka.

Znakowanie oficjalne, za zgodą TT, przypisywane jest według innych źródeł Waleremu Eliazowskiemu (1887 rok). Następny w tej działalności był ks. Walenty Gadowski, który samorzutnie, a częściowo za pieniądze TT, w latach 1903–1906 wskazówkami malowanymi na deskach ułatwiał trafienie na wytyczoną przez siebie, z udziałem kilku górali, trasę na Orlą Perc i przejście nią bez niebezpiecznych kłopotów wśród podniebnych turni.

W kolejnych latach (przykład dosłownie „poszedł z wysokich gór”) zaczęto znakować szlaki w Beskidach Wschodnich, Zachodnich, Pieninach, na Babią Górę. Doszło do tego, że znakowanie szlaków mogli wykonywać tylko specjaliści z tytułem znakarza, uzyskanym po specjalnym szkoleniu „fachowym”. Dwa białe paski z trzecim korowym pośrodku zaproponował w 1924 roku nowosądecki działacz PTT – Feliks Rapf (1891–1972).

W niemal 150-letniej tradycji znakowanie szlaków dla takich ceprów, którzy nie potrafią czytać (a najczęściej po prostu nie mają mapy ani przewodnika i często wołają o ratunek), nabrało wszelkich możliwych cech biurokratyzowania, obrosło w procedury i przepisy. Są zatem uchwały wysokich gremiów o znakowaniu, regulaminy, instrukcje, nadaje się tytuły instruktorów, działają kluby znakarzy. A jakby tego było mało, to od 2011 roku Komisja Turystyki Górskiej ZG PTTK ustanowiła tytuł „Zasłużony znakarz szlaków górskich PTTK”, oraz odpowiednie legitymacje i dyplom. Pełnia szczęścia i jeszcze większa radocha...

Z biegiem lat turystyka i krajoznawstwo nabierały znaczenia jako dziedzina wiedzy i działalności poznawczej, wychowawczej, pedagogicznej, edukacyjnej. Dlatego wraz z upływem czasu kręte, proste, nizinne i te najbardziej ważne w dorobku każdego turysty – górskie szlaki turystyczne „obrastały w piórka”. Przybywało im coraz więcej wyszukanych nazw, terminologii, czyli stawały się jakby coraz ważniejsze. Doszło więc do tego, że obecnie mamy do czynienia już nie tylko z banalnymi trójpaskowymi szlakami turystycznymi, ale też ze ścieżkami edukacyjnymi, poznawczymi, dydaktycznymi, przyrodniczymi, a nawet „kamienną rzeźbą”. W jednej z podlaskich gmin przeszedłem kilkaset metrów ścieżką edukacyjną do składowiska selekcyonowanych odpadów!!!

Po tej części rzeczowej informacji z elementami kpiarskimi, proszę Czytelników o zwrócenie uwagi na odmiennie znakowane ścieżki rowerowe – z sylwetką pojazdu i na ścieżki poznawcze – ocechowane kwadratowym znakiem z ukośnym paskiem kolorowym. Te drugie wyróżniane są przez coraz liczniejsze starannie wydane przewodniki szczegółowo opisujące teren, trasy i obiekty (osobliwości przyrodnicze, krajobrazowe, budowle zabytkowe, punkty widokowe, wieże obserwacyjne, parkingi), które decydują o charakterze ścieżki, jej nazwie i walorach poznawczych. Czasem nawet kilkugodzinne ich zwiedzenie zalecają edukatorzy parku narodowego, krajobrazowego, rezerwatu, doliny rzeki, alei zabytkowego starodrzewu, użytku ekologicznego.

W Wigierskim Parku Narodowym godne specjalnej uwagi są suchary, czyli właśnie ścieżki edukacyjne, typowe dla tego parku narodowego. To regionalna nazwa małych śródleśnych jezior, bagiennych ostoi roślin i zwierząt, torfowisk. Specjalna ścieżka edukacyjna „Suchary” jest jedną z łatwo dostępnych atrakcji przyrodniczych Wigierskiego PN i pozwala na poznanie charakterystycznych dla tego parku obiektów

przyrodniczych. Jest pięć takich małych jezior w otoczeniu lasu, a towarzyszy im ścieżka przyrodnicza „Las”. Wszystko to znajdziemy opodal jezior Krzywe i Czarne, po sąsiedzku z siedzibą dyrekcji WPN we wsi Krzywe, gdzie jest też Muzeum Przyrodnicze WPN.

Podobne ułatwienie dla turystów znajdziemy w Suwalskim Parku Krajobrazowym. To kilka ścieżek, których poznanie ułatwiają specjalne przewodniki obficie ilustrowane rysunkami z natury oraz mapkami. Najbardziej charakterystyczne obiekty ścieżki poznawczej „Dolina Czarnej Hańczy” (3,5 km, znaki zielone) ukazane są za pomocą wyrazistych obrazków i opisu 10 przystanków od Błaskowizny i jeziora Hańcza, przez Bachanowo, z jednym z największych głazowisk, do Turtula, gdzie niebawem zrekonstruowany będzie stary młyn wodny, którego początki sięgają XVII wieku.

Dłuższa (6 km, znaki brązowe) jest ścieżka poznawcza „U źródeł Szeszupy”. Źródłiska tej rzeki znajdują się w podmokłym lesie olchowym, bardzo blisko siedziby dyrekcji Suwalskiego PK, nad Stawem Turtulskim i opodal ruin starego młyna wodnego. Na rowerzystów czeka przy młynie samoobsługowy punkt pomocy technicznej, z kilkunastoma narzędziami i pompką. Ścieżka wiedzie obok starego cmentarza ewangelickiego w Szeszupce, do wsi Wodзилki, gdzie znajduje się molenna, mała cerkiew staroobrzędowców z 1921 roku oraz bania, czyli wiejska łaźnia, regionalna sauna do kąpieli parowych. Dalej jest bujna łąka, na której można usłyszeć derkającego, bardzo skrycie żyjącego, derkacza i klangor, czyli krzyki żurawi strzegących naziemnych gniazd. Ścieżka kończy się przy drugim cmentarzu ewangelickim i starym zabytkowym młynie wodnym w Łopuchowie (przystanek nr 7).

Trzecia ścieżka poznawcza w Suwalskim PK znajduje się w pobliżu kolejnej poprowadzonej okrężnie trasy (7 km, znaki żółte) „Wokół jeziora Jaczno”, od wsi Smolniki i wieży widokowej, przez następną wieżę widokową do Smolnik. Oznaczono ją ukośnym żółtym paskiem w kwadracie. W Smolnikach jest parking. Z Punktu Informacji Turystycznej w siedzibie dyrekcji SPK w Turtulu warto wziąć na trasę bogato ilustrowany informator. Znajdziemy w nim m.in. rysunek rozległej panoramy krajobrazu widzianego spod wspomnianej wiaty (przystanek 1) w Smolnikach. Przystanek informacyjny nr 2 daje okazję do przypomnienia, że w wiekach XVII–XIX w Smolnikach wytwarzano smołę, a mieszkańców nazywano smolarzami.

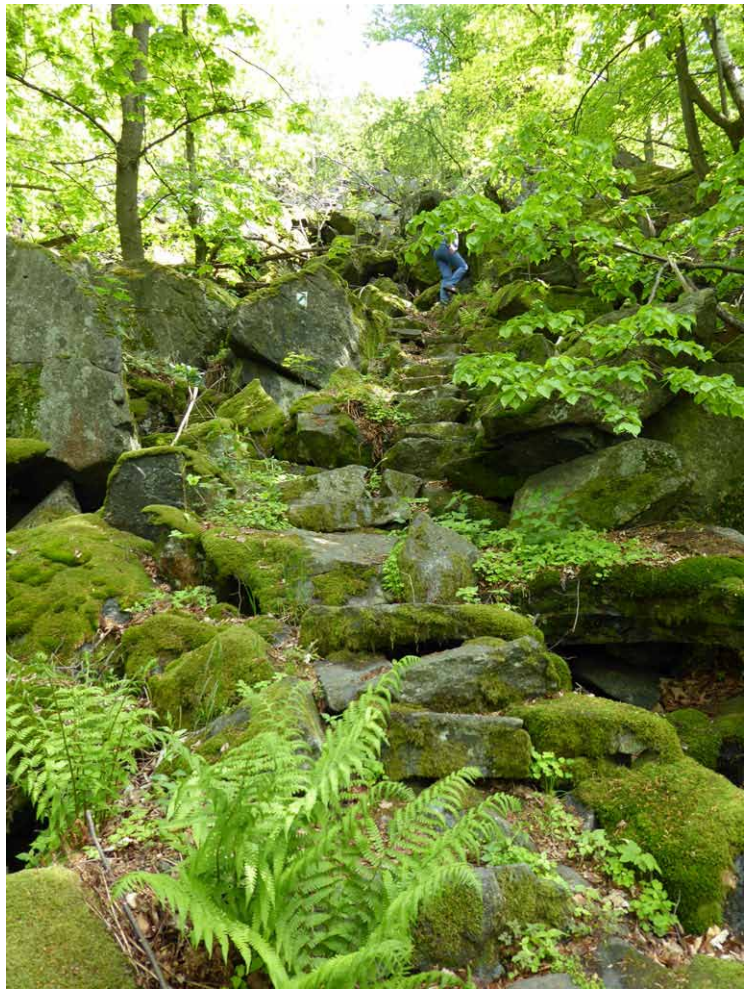
Przy starym leśnym cmentarzu stoi drewniana kapliczka. Kolejny punkt widokowy (przystanek 5) pozwala poznać typowy krajobraz, nazwany tu „panoramą smolnicką”. Kolejną atrakcją na trasie stanowi stary młyn wodny w Jacznie (przystanek 9), jeden z pięciu takich obiektów działających do XIX wieku na terenie dzisiejszego Suwalskiego PK. Nieco dalej znajdziemy zgryzy i żeremie bobrowe. Dochodząc do przystanku 13. nad Szeszupą zamykamy okrężną wycieczkę po tej ścieżce poznawczej.

Tomasz Kowalik

Źródła informacji:

1. Maciej Kamiński, Anna Krzysztofiak, Lech Krzysztofiak, „Ścieżka edukacyjna «Suchary»” – przewodnik, wyd. Wigierski Park Narodowy.

2. Seria informatorów „Ścieżki poznawcze”: „Dolina Czarnej Hańczy”, „U źródeł Szeszupy”, „Wokół jeziora Jaczno”, wyd. Stowarzyszenie Miłośników Suwalskiego Parku Krajobrazowego „Kraina Hańczy”, Turtul 2007, 2008, 1997, wydawnictwa bezpłatne.



Ścieżka przyrodnicza na Skalną w Masywie Ślęży koło Wrocławia. Fot. Piotr Dacko

Zanim wyruszysz – – dekalog turysty górskiego z komentarzem

Z zachowaniem turystów na górskim szlaku jest dokładnie tak samo, jak z zachowaniem kierowców na drogach. Ci drudzy zostali przeszkoleni i mają uprawnienia do kierowania pojazdami, a co się dzieje na drogach, to zgroza. Ci pierwsi podobno też wszystko wiedzą. Zatem dlaczego GOPR i TOPR nie mają chwili wytchnienia, a ilość wypadków idzie w setki każdego roku? Przypominanie o tym, jak bezpiecznie przebywać w górach, to tzw. wyważanie otwartych drzwi, ale ponieważ letni sezon praktycznie trwa w najlepsze, nie zaszkodzi co nieco przypomnieć. A zatem.....

1. **Zanim wyruszysz w góry zastanów się, czy posiadasz dostateczne doświadczenie. Przed wyjściem poddaj ocenie stan zdrowia i siły, swoje i towarzyszy, a w szczególności dzieci.** To podstawowa, nieprzestrzegana zasada, o czym świadczy duża liczba interwencji ratowników i sprowadzania turystów, którzy nie sprostałi trudom wędrówki. Dzieci, choć z pozoru niezniszczalne, łatwo tracą motywację do wędrówki, siły fizyczne też kiedyś się kończą. To, co dobre dla dorosłego, często dla dziecka jest niewykonalne. Np. wycieczka z Chochołowskiej na Starorobociański jest stanowczo zbyt wyciążającą trasą i to pod każdym względem: odległości, wysokości, czasu trwania. Są pasma górskie idealnie nadające się do wędrówki z dziećmi: Beskid Sądecki, Gorce, część Żywieckiego, fragmenty Karkonoszy i inne, po co od razu w Tatrach?

2. **Przygotuj wcześniej dokładny plan wycieczki – najlepiej udają się improwizacje... dobrze przygotowane. Poczytaj przewodniki, mapy, skorzystaj z usług informacji turystycznej, wskazówek przewodników górskich, gospodarzy schronisk, miejscowej ludności.** Wiele osób uważa takie przygotowanie za archaizm licząc na elektroniczne gadżety. Często nie biorą mapy, albo nie potrafią jej czytać, mylą kolory znaków turystycznych, a tabliczki kierunkowe w węzłach szlaków nic im nie mówią, bo nie mając mapy nie są w stanie zorientować się w terenie. To błąd, o czym niejednokrotnie mówili i mówią goprowcy w publicznych wypowiedziach.

3. **W górach szybko i często zmieniają się warunki atmosferyczne, niezbędna jest odzież chroniąca przed złą pogodą i zimnem oraz mocne, wysokie buty na profilowanej podeszwie.** Wszyscy o tym wiedzą, co nie zmienia faktu, że w górach ok. połowy osób na szlakach, szczególnie w weekendy, to ludzie obuci w tzw. adidasy i inne buty nadające się najwyżej na wycieczki po drogach w dolinach. Sprzyja temu marketing i sprzedaż butów nazywanych, nie wiedzieć czemu, „trekkingowymi”.

4. **Wychodząc na wycieczkę pozostaw w domu, w schronisku czy u znajomych wiadomość o celu i trasie wycieczki oraz godzinie powrotu. W ten prosty sposób zapewnisz sobie szybką pomoc w razie wypadku.** Prawie nikt tego nie robi, nawet w Tatrach. Zniknęły ze schronisk książki wyjść w góry. To duży błąd. W telefonie warto mieć kontakty do GOPR i TOPR oraz do pobliskich schronisk górskich.

5. **Szybkość poruszania się dostosuj do możliwości najmniej sprawnego uczestnika wycieczki. „Pożeranie kilometrów” prowadzi niechybnie do wyczerpania, a poza tym ogranicza możliwość podziwiania uroków górskiego krajobrazu.** Niektórzy wciąż uprawiają „zaliczanie szczytów”, a idąc w grupie nie liczą się



Wędrówka w Gorcach to dla dzieci frajda...

ze słabszymi uczestnikami wycieczki. Niejedna grupa „zgubiła” jakiegoś uczestnika i dała niepotrzebne zajęcia ratownikom.

6. *Uważaj na każdy krok – upadki zdarzają się także w łatwym terenie. Szczególnej ostrożności wymagają trudniejsze partie trasy: strome, mokre i zaśnieżone stoki, płaty starego śniegu. Nie zbaczaj ze znakowanego szlaku – jest on zwykle poprowadzony optymalnie, zarówno pod względem bezpieczeństwa, jak i wysiłku potrzebnego na pokonanie trasy.* To prawda, znam sporo przykładów złamania... ręki na szerokiej drodze w dolinie, a urazy stawu skokowego to klasyka wśród kontuzji na szlaku. Odradzam także marsz z nosem w smartfonie – naprawdę lepiej patrzeć na ścieżkę i na znaki turystyczne.

7. *Nie strącaj kamieni, gdyż narażasz innych turystów na poważne niebezpieczeństwo. Przez miejsce, w którym grożą spadające kamienie przechodź szybko i uważnie.* Nikt normalny tego nie robi, ale nie można wykluczyć spotkania „dowcipnisia” bawiącego się w spuszczenie kamieni. Na szlakach w Tatrach Wysokich, szczególnie tam, gdzie szlak wiedzie zlebem warto mieć na głowie kask. To nie wstyd, na alpejskich szlakach to norma.

8. *Decyzja zawrócenia z drogi to nie hańba, lecz głos rozsądku. Nie wstydz się zawrócenia, gdy załamię się pogoda, nadejdzie mgła lub trasa okaże się zbyt trudna.* Marsz mimo złych warunków połączony z brakiem doświadczenia i znajomości terenu, złą oceną odległości i nadmierną wiarą we własne siły niejednego już zgubił. Co ciekawe, informacje o takich przypadkach nadal nie robią wrażenia na wielu ludziach. Fałszywa ambicja i upór to źli doradcy. Czasem lepiej odpuścić i dać sobie szansę na bezpieczne przejście szlaku czy wejście na szczyt w lepszych warunkach, zamiast stwarzać zagrożenie dla siebie i innych.

9. *Szanuj przyrodę, nie hałasuj, jest to niebezpieczne. Dbaj o czystość i porządek w górach. Usuwając śmieci dajesz dowód swej kultury.* To, czy na szlakach i w schroniskach będzie czysto i przyjemnie zależy głównie od nas, turystów. Dlatego uprzejmie proszę: skończyła się woda w plastikowej butelce – zgnieć ją i wrzucić do oznaczonego pojemnika, w ten sposób zmieści się w nim 2 x więcej butelek niż wtedy, gdy je wyrzucamy niezgniecione. W każdym schronisku jest segregacja odpadków – nie leń się i poszukaj odpowiedniego pojemnika. Jeżeli na jednodniowej wycieczce przyniosłeś do schroniska prowiant i napoje, zabierz puste opakowania ze sobą i wyrzucić w miejscu zakwaterowania. Zachowuj się cicho – krzyki mogą zagłuszyć czyjeś wołanie o pomoc.

10. *Jeżeli mimo ostrożności zdarzy się wypadek – przede wszystkim zachowaj spokój. Poszkodowanego ułóż w bezpiecznej pozycji, w widocznym miejscu i pod opieką. Przyjętymi w górach sygnałami wezwij na pomoc GOPR.* Przypominam: wzywanie pomocy to 6 sygnałów (głosowych – najlepiej gwizdkiem – lub świetlnych), odzew to 3 sygnały na minutę. Sygnał dla załogi helikoptera to postawa przypominająca literę Y. W telefonie warto zainstalować aplikację RATUNEK, numery ratunkowe w górach to **601 100 300** i **985**. Ze strony TOPR można pobrać aplikację RATUNEK i zainstalować na swoim telefonie. Pamiętajmy jednak, że „komórka”, czy inne podobne urządzenie nie jest w 100% niezawodne. Wybierając się w góry sąsiadów, do Czech i na Słowację, nie mówiąc o wypadzie w Alpy lub dalej, należy wykupić ubezpieczenie. Koszt niewielki, a można uniknąć kłopotów z rozliczeniem pomocy medycznej lub akcji ratunkowej. Nie zapominajmy, że mając opłaconą składkę członkowską PTTK jesteśmy ubezpieczeni od NNW.

Suplement od autora: **samotna wędrówka** dostarcza dodatkowych wrażeń, jest się niezależnym, ale też zdany wyłącznie na siebie. W razie wypadku, jakiegoś zagrożenia, zachorowania, zmniejszają się znacznie możliwości pomocy i ratunku. Nie można wychodzić w góry bez mapy i latarki, a robi to wiele osób. O tym także nieustannie przypominają górcy ratownicy. Wielu interwencji mogłoby nie być, gdyby turyści wiedzieli, gdzie są i byli w stanie rozpoznać drogę o zmierzchu czy w nocy. Z własnych obserwacji wiem, że zbyt często wychodzi się w góry bez tych dwóch przedmiotów: *Przecież dzień długi, a nie mam zamiaru późno wracać.* To nie zawsze się udaje.

Dekalog turysty górskiego cytuję za stroną internetową KTG ZG PTTK.



...dla młodzieży także

Juliusz Wystouch

Alpejski Breitenberg z niespodzianką

Zbliżając się od zachodu do Pfronten – urokliwej alpejskiej miejscowości w bawarskim regionie Allgäu – przed rozwidleniem dróg (w lewo do zabudowań Kreuzegg, w prawo do Weißbach), zauważyłem stojący przy zatoczce krzyż pokutny. Znany widok, szczególnie na Dolnym Śląsku. Jak każdy pomnik średniowiecznego prawa i ten był monolityczny, prosty i surowy, znalazł się tu w miejscu popełnionej zbrodni. Krzyże pokutne są fenomenem naszego średniowiecznego prawa, nigdzie indziej poza Europą nie występują. W tym miejscu zdarzyła się kilkaset lat temu tragedia, krzyż jest ostatnim elementem pokuty, pamięci i przestrogi oraz zadośćuczynienia rodzinie ofiary. Wcześniej zabójca zobowiązany był pokryć koszty pogrzebu i procesu sądowego,łożyć na utrzymanie pozostałych członków rodziny ofiary, odbyć pielgrzymkę do świętego miejsca (np. Rzymu). Nie dopatrzyłem się na krzyżu żadnego rytu narzędzia zbrodni – zdarza się że czasem występują. Myśli się kłębiły i pomyślałem sobie: w tym miejscu zdarzyła się tragedia, minęły wieki, a pamięć o niej trwa.

Pfronten jest niewielką miejscowością, około dziewięćsetletnią, ale za to urokliwie położoną wśród wzgórz i hal wypasowych, składającą się z trzynastu osiedli rozrzuconych na krańcu Alp Allgäu, z najwyższym szczytem Aggenstein (1986). Główna droga biegnąca przez miejscowość, dziś asfaltowa, nijak nie przypomina historycznego traktu rzymskiego wiodącego do Cambodunum (dzisiejszy Kempten), jednakże krajobrazów z niej widocznych można pozazdrościć, są powalające! Już pierwszego dnia urzekł nas widok znad jeziora Weißensee na Alpy, zaledwie dziewięć kilometrów od Pfronten, ale już w granicach administracyjnych kolejnej miejscowości Füssen. Na tafli stutrzydziestopięciohektarowego jeziora odbijały się szczyty. Na pierwszy rzut oka najwyższy z nich przypominał słynący z piękności Matterhorn (4478). Oczywiście nie to miejsce, tenże legendarny szczyt alpejski znajduje się bowiem na pograniczu Szwajcarii i Włoch w Alpach Pennińskich. Już sama nazwa tej części Alp prowokowała do żartów, a odpowiednio ją przekręcając mielibyśmy i w Alpach... Pieniny! Piętrzące się na tle jeziora szczyty Schlicke (2059) i Läufer Spitze (1956) tak wysokie nie były, chociaż wrażenie sprawiały. Alpy – wydawało się będące na wyciągnięcie ręki – kusiły, mamili, przyciągały, nie można było oderwać oczu.

Gdy tylko zrobiło się okienko pogodowe, wybraliśmy się na piętrzący się nad Pfronten okazały szczyt Breitenberg, a w zasadzie ciągnący się rozległy masyw, którego kulminacją był wierzchołek na 1838 m. Z osiedla Steinach można kolejką gondolową Breitenbergbahn wyjechać na górną stację, na wysokość 1498 m. Już powyżej górnej granicy lasu zalegało sporo śniegu. Teren wokół stacji zagospodarowany



Krzyż pokutny z Pfronten



Widok znad jeziora Weißensee

jest w stylu alpejskim, znajduje się tu restauracja Berghaus Allgäu z dużym słonecznym tarasem widokowym na Alpy Allgäu, region Voralberg, miejscowości Pfronten i Füssen oraz liczne jeziora – dla patrzącego z góry istne pojezierze. Restauracja kusiła bawarską kuchnią i napojami, być może dla niektórych to większa atrakcja niż pójście dalej w kierunku szczytu, bo rozkoszując się pysznymi widokami konsumują ile wlezie i na tej przyjemności poprzestają. Cóż, tak też można.

Tuż nad stacją kolejki udostępniono inny taras widokowy, dla bardziej zdeterminowanych i odpornych na ekspozycję. To wysunięty kilka metrów nad przepaścią ażurowy podest z barierkami, zakończony przezroczystą ścianką. Nie każdy nań wejdzie, ale dzieci takich obaw nie mają. Widziałem jak kilkuletnie dziecko, korzystając z chwilowej nieuwagi rodziców, wbiegło na taras, rozłożyło ręce i wołało do mamy: *Look, I'm a bird!* (Spójrz, jestem ptakiem!), a mama i tata z paniką w oczach bezradnie prosili, by zeszło, bo sami nie byli na tyle odważni, aby wejść na podest.

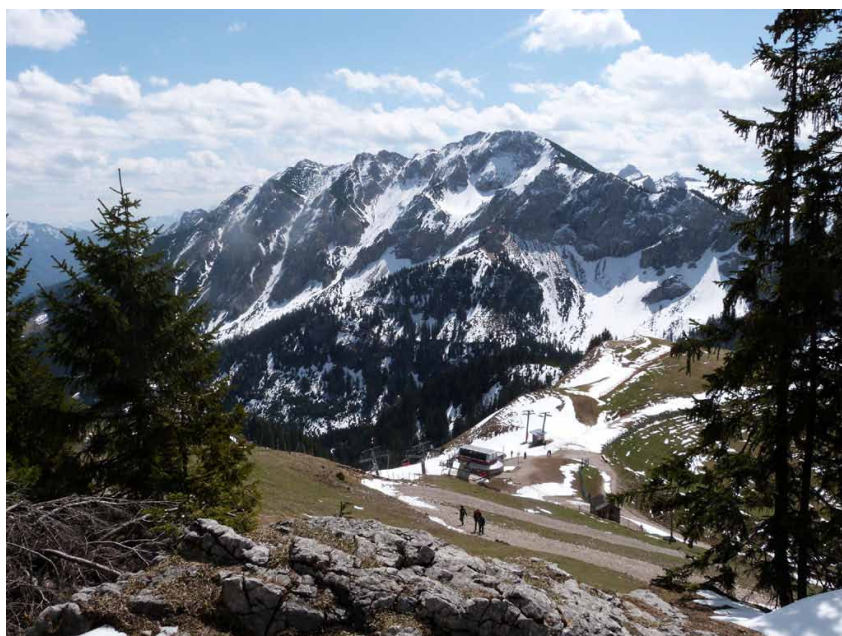
Kilkaset metrów dalej znajduje się dolna stacja wyciągu krzesłkowego Hochalpbahn, a tuż obok niej alpejska gospoda, również z rozległym tarasem, rustykalną jadalnią i bufetem, serwująca przekąski i napoje. Wcześniej, w 1889 r., członkowie klubu alpejskiego z Pfronten zbudowali w tym miejscu pierwsze schronisko Aggenstein Hütte, być może jakaś jego część jest fragmentem obecnej gospody.

Cały ten dość rozległy teren zwany Hochalpe oferuje zimą siedem doskonale przygotowanych tras narciarskich o różnej skali trudności, jak i możliwość korzystania z saneczek, skitouru tudzież rakiet śnieżnych. Natomiast późną wiosną, latem i jesienią są już dobre warunki do wędrówek górskich oraz wspinaczek skalnych, bo przepastne ściany przyciągają miłośników adrenaliny. Hochalpe jest też miejscem, które upatrzyli sobie paralotniarze. Biegnie tędy szlak wysokogórski Breintenberg – Füssener Jöchle pełen wyzwań, łącznie z wyjściem na uwieńczony

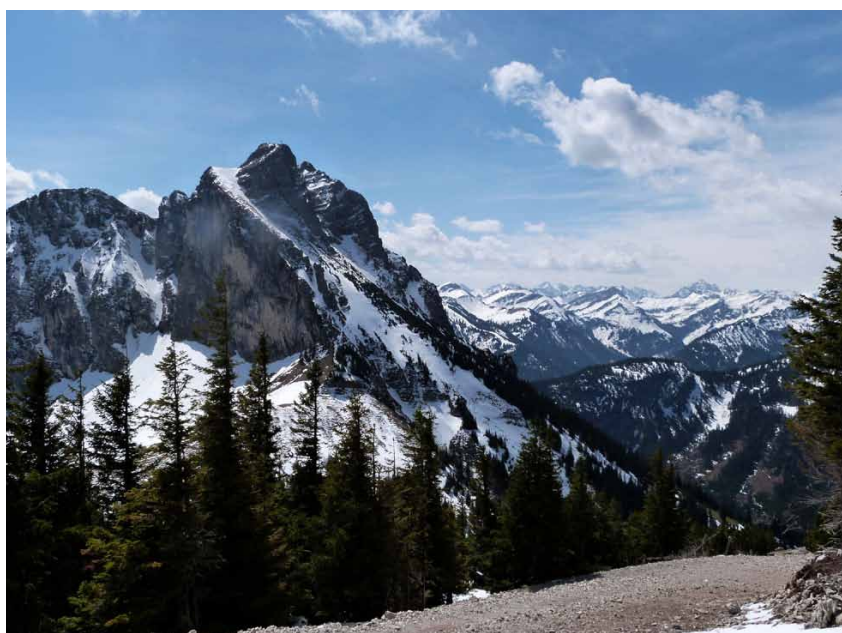
**Widok z przełęczy
na Aggenstein (1986 m)**



Punkt widokowy – ekstremalna atrakcja górnej stacji kolejki gondolowej



Górna stacja wyciągu Bergstation (1677 m) na przełęczy



krzyżem szczyt Aggenstein (1986), którego ostatnie metry zabezpieczają stalowe linki.

Górna stacja wyciągu krzesełkowego Bergstation znajduje się na wysokości 1677 m, na przełęczy pod szczytem Breitenberg; stąd szlaki prowadzą na imponująco wyglądający z tego miejsca szczyt Aggenstein oraz do schroniska Bad Kissinger Hütte usadowionego na jego południowym stoku. Gdy patrzyłem z miłością na ośnieżony wierzchołek, wiedziałem, że bez odpowiedniego sprzętu – raków i czekana – nie ma co marzyć o jego zdobyciu, a poza tym moje serce i tak uniemożliwiłoby wspinaczkę.

Dlatego skręciłem w drugą stronę i jak Szerpa, tyle że nie dźwigając tyłu co on rzeczy, krok po kroku piąłem się na Breitenberg. Na dłuższych odcinkach zalegał ciężki śnieg, który w promieniach słońca utrudniał srodze podchodzenie. Radość ze zdobycia wierzchołka sprawiła, iż z aptekarską dokładnością skorygowałem z mapą, że szczyt z krzyżem ma 1838 m, a usytuowane tu schronisko Ostler Hütte położone jest dwa metry niżej. Wcześniej w tym samym miejscu, w 1929 r. członkowie klubu alpejskiego z Pfronten zbudowali drewniany schron ułatwiający im penetrowanie okolicy i zdobywanie otaczających szczytów.

Dla tych, którzy są przyzwyczajeni do naszych schronisk, nie tylko tatrzańskich, kilka obserwacji. Sadowimy się na słonecznym tarasie z obłędnym widokiem na Alpy. Dłuższą chwilę nie rozmawiamy, napawamy się tym morzem lukrowanych szczytów iskrzących się w promieniach słońca. Gdy postanawiamy w końcu się czegoś napić i zjeść, zjawia się... kelner z menu. Wciąż nie mogę się do tego przyzwyczaić. Zostałem ukształtowany w innych górach i przede wszystkim w odmiennych, siermiężnych czasach, które na szczęście minęły. Młodsze pokolenia nie będą już sobie tym zaprzętały głowy, więc nie odniosę się do tego normalnego tu zjawiska. Schronisko oferuje przytulne pokoje, w tym luksusowe, a także wieloosobowe (to już coś naszego!), z pełną infrastrukturą sanitarną. W środku restauracja, niewiele skromniejsza od tych znajdujących się na nizinach.



Schronisko Ostler Hütte



Na tarasie schroniska Ostler Hütte, w tle najbliższej – szczyt Aggenstein



Sandra Manowski z autorem

Gdy siedzimy na tarasie i w tym morzu języków, które się machinalnie łowi uchem, rozmawiamy po polsku, podchodzi pani z zamówionym piwem i zwraca się do nas słowami: *Dzień dobry, słyszę że rozmawiacie po polsku*, będę mogła chociaż *parę zdań zamienić w naszym języku i dowiedzieć się co nieco*. Na pytanie, skąd jesteśmy odpowiadamy, że z Gliwic, na co pani uśmiecha się jeszcze bardziej, bo jest ze Świętochłowic. Od razu lody puszczejają, gdyż oba miasta leżą prawie w sąsiedztwie. Sandra Manowski opowiada o pracy w schronisku – w sezonie tu mieszka, ma pokój służbowy, a gdy trzeba, to dojeżdża korzystając z obu wyciągów. Mówi o rodakach w Bawarii, których jest wielu i coraz więcej. W schronisku pani Sandra ma łączność ze światem przez Internet, ale przecież nic nie zastąpi bezpośredniej rozmowy i wspomnienia. Chyba sąsiednie stoliki zazdroszczą nam tej radości ze spotkania, uśmiechów i tego, co nas łączy na obczyźnie. Wydaje się, że Ostler Hütte stało się przez to jeszcze bardziej gościnne, niż zapowiadało się z początku.

Czas wracać, robi się późnawo, żegnamy się. Czy kiedykolwiek tu jeszcze wrócimy? Pewnie nie spotkamy już naszej sympatycznej rodaczki, więc tyle naszego, co pozostanie w nas.

Ryszard M. Remiszewski

Cztery domy

Spójrzmy na zdjęcie. Podobne domy moglibyśmy zobaczyć zapewne w każdym z polskich miast powiatowych. Ba! W większości z nich znaleźlibyśmy ładniejsze budowle. I prawdopodobnie starsze! Przy tym wszystkim przypuszczalnie nie stanowiłyby tam jakiejś specjalnej atrakcji – ot, cztery stare budynki. O czym tu pisać?

Zainteresowanie Czytelników powinna wywołać wiadomość, że owe cztery domy nie stoją w żadnym z prowincjonalnych miasteczek, a w stolicy. Ale nie Polski, a... Finlandii! I że stanowią fragment jej najstarszej zwartej zabudowy! O budynki te ociera się każdy turysta przybywający do Helsinek, w drodze ku górującej nad Placem Senackim katedrze luteranńskiej – warto zatem o nich kilka słów napisać.

Wprawdzie Helsinki zostały założone przez Gustawa I Wazę w 1550 r., jednak przez następne dwa stulecia były tylko dużą osadą handlową z rozrzuconą, drewnianą zabudową.

Sytuacja zmieniła się dopiero w XVIII w., kiedy na drugim końcu Zatoki Fińskiej zaczął rosnać rosyjski Petersburg, a obok niego, na odebranej Szwedom wyspie Kotlin, baza rosyjskiej floty bałtyckiej – Kronsztad. Korona szwedzka, do której należała wówczas Finlandia, odpowiedziała na rosyjskie zagrożenie budową w 1748 r. twierdzy Suomenlinna na archipelagu wysepek u wrót Helsinek. Utworzenie silnego garnizonu wojskowego dało miastu impuls do większego rozwoju.

Jednym z tych, którzy najbardziej zaangażowali się w helsińskie inwestycje i zaczęli uzyskiwać z nich największe zyski, był Johan Sederholm (1722–1805), przedsiębiorca blisko związany ze szwedzką rodziną królewską. Był m.in. właścicielem gruntów w dzisiejszych dzielnicach Herttoniemi i Kumpula, kilku tartaków, stoczni oraz manufaktury wytwarzającej żagle. To dla niego w 1757 r. Samuel Berner (zm. 1759), architekt i mistrz murarski pochodzący z Niemiec, wybudował w dzielnicy Kruununhaka murowany z kamienia dom w stylu klasycystycznym. Był to w tym czasie najbardziej reprezentacyjny budynek Helsinek.



Cztery domy w Helsinkach

Spadkobiercy Senderholma sprzedali dom w 1822 r. W latach 1865–1870 Konstantin Kiseleff przebudował go na cele mieszkalne, a parter przeznaczył na sklepy. Od 1949 r. budynek, uznawany za najstarszy dom w Helsinkach, znajduje się we władaniu miasta. Od 1995 r. mieści jeden z oddziałów Muzeum Miejskiego Helsinek. Piętrowy budynek z trójosiowym portykiem, nakryty mansardowym dachem, znajduje się w południowo-wschodnim narożniku reprezentacyjnego Placu Senackiego. Stoi zwrócony siedmioosiowym frontem do Aleksanterinkatu – głównej ulicy Helsinek, a jego szczyt wychodzi na krzyżującą się z nią Katariinkatu. Aleksanterinkatu w czasach szwedzkich nosiła nazwę *Storgatan*, czyli ulica Wielka.

Dom Sederholma ma adres Aleksanterinkatu 18. Na sąsiedniej parceli, pod numerem 16, znajduje się tzw. Dom Remandera (po fińsku: *Remanderin talo*). Został zbudowany w 1814 r. dla kupca Friedricha Remandera. Pierwotnie jednopiętrowy, w 1873 r. został podwyższony o drugie piętro, zwieńczone wydatnym gzymsem. W ascetycznej, prawie klasycystycznej, siedmioosiowej fasadzie wyróżniają się jedynie trzy środkowe okna pierwszego piętra, których otwory są zwieńczone niskimi, trójkątnymi naczółkami.

Kolejnym budynkiem (Aleksanterinkatu 14) jest tzw. Dom Brummera (fin. *Brummerin talo*). Ma on zdecydowanie najbogatszą historię. Zbudowany został w 1823 r. dla kapitana Kählmana według planów Jeana Wiika (1804–1876), później znanego fińskiego architekta, autora projektów m.in. wielu kościołów. Współwłaściciel terenu, H. J. Falkman, umieścił tu gorzelnię. Po kilku zmianach właścicieli kolejny z nich, radca J. V. Brummer, polecił w 1887 r. dobudować piętro. Również na jego zlecenie Theodor Höijer (1843–1910), bodaj najbardziej wpływowy fiński architekt końca XIX w., zaprojektował wzniesioną w głębi parceli oficynę.

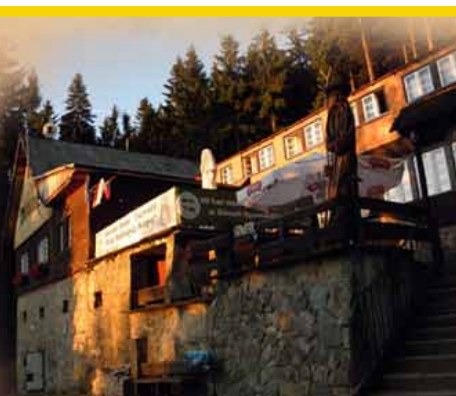
W budynku kwitło życie towarzyskie i kulturalne. M.in. zbierali się tu członkowie stowarzyszenia *Lauantaiseura*, którzy w 1831 r. powołali do życia Towarzystwo Literatury Fińskiej (fin. *Suomalaisen Kirjallisuuden Seura*). Po drugiej wojnie światowej, pod koniec swej prezydentur, mieszkał tu również przez pewien czas (1945–1946) marszałek Carl Gustaf Mannerheim zanim wyjechał do Szwajcarii. W 1959 r. budynek z charakterystycznymi fryzami został odkupiony przez miasto. W latach 1961–1962 był wyremontowany z przeznaczeniem na rezydencję mera Helsinek. Robi wrażenie... swoją skromnością!

Działkę pod adresem Aleksanterinkatu 12 (narożna z Helenankatu) zajmuje Dom Baldera (fin. *Balderin talo*). Zbudowany został, pierwotnie jako jednopiętrowy, w 1814 r. w modnym wówczas stylu empire. Zaprojektował go kolejny wybitny architekt, Pehr Granstedt (1764–1828), który w tym samym roku zaprojektował również w Helsinkach ogromny miejski pałac dla bogatego kupca Heidenstraucha – obecny Pałac Prezydencki. W 1931 r. na części budynku od strony Aleksanterinkatu dobudowano drugie piętro, znacznie wyższe od pozostałych kondygnacji. Pomalowany na okropny czerwony kolor budynek mieści dziś m.in. kawiarnię (*Café Balder*) i sklep z wyrobami ceramicznymi.

Na koniec dygresja. W 1809 r. Szwedzi utracili Finlandię na rzecz Rosji. Od 1833 r. trzy ulice, które wymieniałem, noszą nazwy związane z przedstawicielami domu Romanowów: cara Aleksandra I i jego siostr: Katarzyny Pawłownej, królowej Wirtembergii i Heleny Pawłownej, wielkiej księżnej Mecklenburgii-Schwerinu. Interesujące jest, że przez z górą wiek niepodległości Finlandii nie zdołano zmienić tych nazw, symbolizujących – jak by nie było – stuletniego okupanta kraju! Nie ujrzała światła stosowna ustawa derusyfikacyjna, która przysporzyłaby sporo miejsca na tabliczkach z nazwami ulic i placów fińskim bohaterom narodowym najnowszej historii. Ba! Na reprezentacyjnym Placu Senackim stoi nadal... pomnik cara Aleksandra II! A może było inaczej? Może po prostu żaden z praktycznych Finów nie wpadł na pomysł, by ogromnym nakładem środków wycinać – może nie najmiłsze, ale przecież prawdziwe – fragmenty własnych (w sumie nie tak znowu długich...) dziejów?

Miroslaw J. Barański

Górski Dom Turysty
"Pod Biskupią Kopą"
48-267 Jarnołtówek 211
tel. 077/439-75-84
www.biskupiakopa.pl
e-mail: biskupiakopa@wp.pl



Na wakacje do Maroka



Maroko to kierunek, który warto rozważyć na wakacyjny wyjazd. Turystów przyciągają przepiękne piaszczyste plaże nad Atlantykiem, możliwości aktywnego wypoczynku czy wyjątkowe miejsca historyczne. W kwietniu br. udostępniono dla turystów nową atrakcję, ruiny starożytnego miasta Liksus, które znajdują się nieopodal Tangeru. Melomani mają z kolei inny pretekst do podróży – w czerwcu w Fezie i Rabacie odbędą się dwa międzynarodowe festiwale muzyczne. Jest w czym wybierać!

Maroko położone na zachodnim wybrzeżu Afryki jest krajem o wyjątkowo urozmaiconym krajobrazie. To sprawia, że zarówno zwolennicy leniwego wypoczynku, jak i fani aktywnych wakacji będą zadowoleni ze spędzonego tam czasu. Od lat Polacy chętnie podróżują do Maroka, a popularność tego kierunku nie słabnie. Warto sprawdzić oferty biur podróży albo zorganizować wyjazd na własną rękę.

Likusus – nowa atrakcja archeologiczna

Marrakesz ze słynnym placem Jemaa el-Fna, Fez z największą medyną arabskiego świata, Rabat położony nad oceanem, u ujścia rzeki Bouregreg oraz Tanger, z którego brzegów widać Europę, a także wyjątkowe kazby na południu kraju – to miejsca, które od lat kuszą podróżników. W kwietniu do listy atrakcji turystycznych udostępnionych do zwiedzania dołączyło starożytne rzymskie miasto Liksus na wybrzeżu atlantyckim,

Essaouira



Agadir



Pole golfowe w Marrakeszu



niedaleko Al-Araisz (Larache), na południe od Tangeru. Założone w XII wieku p.n.e. swój okres świetności przeżywało w I wieku p.n.e., za czasów panowania króla Juby II. Według UNESCO to jedno z miejsc o największym znaczeniu historycznym w Maroku, pomimo tego, iż odkrytych jest jedynie ok. 10% ruin dawnej metropolii.

Aktywnie i leniwie

Maroko to cel podróży, który zaspokoi szukających wytchnienia na plaży, jak i fanów aktywnego wypoczynku. Najpopularniejszym nadmorskim ośrodkiem jest Agadir z bogatą bazą noclegową, od luksusowych hoteli począwszy, na ekonomicznych opcjach skończywszy. Niezależnie od wyboru, turystów urzeka ogólnodostępna piaszczysta plaża, która ciągnie się przez 6 km. To zresztą charakterystyczne dla tej części wybrzeża. Nad oceanem zlokalizowane są centra nurkowe, surfingowe i windsurfingowe. Warto wspomnieć, że w Maroku znajdują się jedne z najlepszych spotów surferskich, m.in. klimatyczna Essaouira, Taghazout czy zyskująca na popularności Dakhla w południowej części kraju.

Inną dyscypliną, która ściąga do Maroka amatorów i profesjonalistów, jest golf. Powstają nowe ośrodki, a te w okolicach Agadiru, Marrakeszu czy Casablanki cieszą się dobrą opinią wśród golfistów. Poza tym Maroko ma świetne warunki do sportów motorowych –rozgrywane są tam zarówno wyścigi samochodowe, jak i motocyklowe.

Czerwiec pod znakiem muzyki

W czerwcu będą miały miejsce dwa ważne wydarzenia muzyczne. Od 14 do 22 czerwca w Fezie, duchowej stolicy Maroka, odbędzie się 25. edycja Festiwalu Muzyki Sakralnej Świata. Na kilku scenach poza Marokańczykami wystąpią artyści z Europy, m.in. z Irlandii, Wielkiej Brytanii, Francji, Hiszpanii, Niemiec, ale też i spoza Starego Kontynentu, jak np. z Azerbejdżanu, Libanu, Omanu, Afganistanu, Kanady, Kuby czy Wenezueli.

Innego rodzaju muzyki będzie można posłuchać w Rabacie podczas festiwalu Mawazine, który odbędzie się już po raz 18. Na kilku scenach od 21 do 29 czerwca będzie rozbrzmiewać marokańska i międzynarodowa muzyka rozrywkowa. Spośród gwiazd światowego formatu wystąpią m.in. zespół Black Eyed Peas, David Guetta czy Maluma.

Informacje praktyczne

Do Maroka są bezpośrednie połączenia z Warszawy do Marrakeszu. Wizz Air lata dwa razy w tygodniu. Poza tym szeroka oferta wycieczek jest dostępna w biurach podróży. Więcej informacji o festiwalach znajduje się na stronach: www.fesfestival.com/2019/fr/ i www.mawazine.ma/en/accueil/.



Marrakesz



Plaża nad Atlantykiem

Jubileusz 60-lecia Koła Nauczycielskiego PTTK nr 30 przy Oddziale ZNP Jelenia Góra

W sobotę 25 maja 2019 roku Oddział PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze z Zarządem Koła PTTK nr 30 zorganizował konferencję krajoznawczą pt. „Nauczyciele regionu jeleniogórskiego jako inicjatorzy turystyki szkolonej”. Konferencja była połączona z obchodami jubileuszu 60-lecia Koła PTTK nr 30 (Nauczycielskiego) przy Oddziale ZNP Jelenia Góra.

Konferencję, która odbyła się w Galerii na Górze (Muzeum Karkonoskie), otworzył prezes Oddziału PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze – Krzysztof Tęcza. Po przywitaniu i przedstawieniu tematu spotkania wręczono działaczom Koła wyróżnienia. Dyplomy podpisane przez prezydenta Jeleniej Góry Jerzego Łuzniaka wręczył Paweł Domagała – naczelnik Wydziału Nadzoru Merytorycznego w Departamencie Edukacji UM Jelenia Góra. Dyplomy otrzymali: Zdzisław Gasz, Ryszard Wróblewski, Jan Hanc, Antoni Witczak, Teresa Kisiołek, Romana Dobosz. Dodatkowo pan Paweł Domagała wręczył przyznane przez jego departament dyplomy Michałowi Braclawskiemu i Danucie Rynkiewicz.

Krystyn Chudoba – zastępca przewodniczącego Porozumienia Oddziałów PTTK Województwa Dolnośląskiego – wręczył medale honorowe przyznane: Barbarze Lesiak, Eleonorze Dziedzio, Marii Goraczewskiej i Annie Makowskiej.

Pozostałe odznaczenia przyznane przez PTTK za długoletnią przynależność do Towarzystwa wręczył Krzysztof Tęcza.

Jako pierwszy w części wspominkowej głos zabrał Zdzisław Gasz – prezes zarządów Oddziałów PTSM i LOP, Członek Honorowy zarówno PTTK jak i PTSM oraz LOP. Zdzisław Gasz będący członkiem Koła PTTK nr 30 rozpoczął swoje wystąpienie od pokazania wydawnictwa poświęconego najbardziej znanemu członkowi Koła Nauczycielskiego – Teofilowi Ligenzie vel Ozimkowi. Był on bowiem nie tylko prezesem Koła przez ponad 40 lat, ale także organizatorem większości imprez turystycznych, krajoznawczych i kulturalnych.



Zdzisław Gasz z rozrzwiniem wspominał wypadki do Wrocławia, podczas których zwiedzano ciekawe miejsca, ale także brano udział w spektaklach operowych. W tamtych czasach na takie wypadki jeździło się pociągiem. Wspomniał także o organizowanych przez „Profesora” (tak zwracano się do Pana Teofila) Turniejach Turystyczno-Krajoznawczych oraz rajdach „Kuratorka”, podczas których prowadził on trasy piesze jeszcze w wieku 80 lat.

Maria Goraczewska – prezes Koła PTTK nr 30 – przypomniała jubileusz sprzed 10 lat oraz przytoczyła niektóre fragmenty wspomnień Mariana Tumidalskiego. Przed wszystkim skupiła się na wymienionych przez autora działaczach i członkach Koła: Teofilu Ligenzie, prof. Hackem, koleżankach i kolegach (Wróbel, Lesiak, Rynkiewicz, Remert, Galiński, Naumik, Leparska) oraz rodzinach Sobierajskich, Chmurzyńskich czy Gorajewskich. Przypomniała, że w okresie 60 lat przez Koło przewinęło się prawie 600 osób. Obecnie liczy ono niespełna 30 członków i to stanowi problem. Nie ma młodych, którzy chcieliby kontynuować działalność. Na szczęście wciąż są organizowane różnego rodzaju spotkania i spacerki, oczywiście dostosowane do kondycji fizycznej i możliwości dojrzałych członków Koła.

Henryk Antkowiak opowiedział o swoim życiu, o tym, jak w tamtych czasach wyglądała praca nauczyciela. Wspomniał o swojej pracy w Szkole Podstawowej nr 1 w Cieplicach a następnie w Szkole Rzemiosł Artystycznych. Opowiedział o działalności turystycznej prowadzonej w obu szkołach. Niestety (dla nas), późniejsze życie związał z Jaworem, gdzie się przeprowadził. Zakładając tam Koło Nauczycielskie PTTK miał świadomość, że to koniec jego współpracy z Jelenią Górą.

Anna Makowska wspomniła osoby, które ukształtowały Koło: Aleksandra i Antoninę Sobierajskich, Janinę Wolimierską, Janinę Zieleńską, Romana Witczaka. Przypomniała, że dawniej w środy odbywały się spotkania krajoznawcze. Trwało tak do czasu, kiedy Koło straciło swoją siedzibę.

Teresa Kisiołek z domu Sobierajska przypomniała, oprócz Klubu, swojego tatę Aleksandra Sobierajskiego. Miał on zwyczaj nadawania kolejnym dzieciom podwójnych imion, co często wprowadzało małe zamieszanie, zważywszy, że potomstwo z czasem używało niekoniecznie pierwszego imienia. Tata zabierał swoje dzieci na różne obozy. Natomiast mama Antonina Sobierajska zabierała je na wycieczki Rajdu na Raty czy Rodzinne Eskapady w Góry. Największym jednak wyzwaniem było ich uczestnictwo w Ogólnopolskim Wysockokwalifikowanym Rajdzie Pieszym, odbywającym się co prawda raz do roku, ale trwającym dwa tygodnie.

Antoni Braclawski, z młodszego pokolenia, wspomniął czasy lat 70. XX wieku, kiedy to złapał bakcyła turystycznego. Zawdzięcza to Teresie Materny. Powiedział, że nie ma nic piękniejszego, jak ruch turystyczny. Człowiek czuje się wtedy młody i szczęśliwy.

Uzupełnieniem tych wspomnień były wystąpienia Jana Smolira i Mariana Hübnera, przedstawicieli Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Podczas gdy w tle „leciała” prezentacja multimedialna przygotowana przez Andrzeja Mateusiaka, Krzysztof Tęcza zaprezentował najnowszy „Zeszyt Historyczny” wydany przez prowadzoną przez niego Regionalną Pracownię Krajoznawczą Karkonoszy (założoną na mocy porozumienia pomiędzy Związkiem Gmin Karkonoskich a Oddziałem PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze). Tytuł „60 lat Koła PTTK nr 30” całkowicie nawiązuje do uroczystości, z okazji której się spotkaliśmy. W „Zeszytach” znalazły się wspomnienia wielu działaczy związanych z tym Kołem, ale także opracowane przez Andrzeja Mateusiaka kroniki czy lista członków Koła.

Na koniec spotkania otworzono przygotowaną na uroczystość wystawę fotograficzną oraz zaproszono wszystkich do skosztowania tortu.

Nasze spotkanie odbyło się dzięki uprzejmości dyrektor Muzeum Karkonoskiego pani Gabrieli Zawiły oraz zostało dofinansowane przez Urząd Miasta Jelenia Góra. W prawidłowym przebiegu spotkania pomagały nam pracownice muzeum Panie Aneta Firszt i Natalia Kryszpin.

Krzysztof Tęcza



Śladami uczestników jeleniogórskiej wyprawy na Annapurnę

W piątek 17 maja 2019 roku Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy działająca w Związku Gmin Karkonoskich zaprosiła chętnych do Bukowca na spotkanie z osobami, które w kwietniu 2019 roku odbyły podróż w Himalaje. Organizatorem tegorocznego wyjazdu był Maciej Pietrowicz, a uczestnikami dzieci członków wyprawy na Annapurnę Południową sprzed 40 lat. Podjęli oni trud odszukania głównej bazy tamtej wyprawy. Chodziło o dotarcie do głazu, na którym Wiktor Szczypka wyrył napis upamiętniający trzech uczestników wyprawy, którzy za swój wyjazd zapłacili życiem.

O wyprawie z roku 1979 różnie się mówi. Jedni uważają, że nie była zorganizowana tak, jak należy, drudzy, że wręcz przeciwnie. Pewne jest, że jak na ówczesne realia wyprawa była przygotowana poprawnie. Nie było wtedy takiej logistyki jak dzisiaj. Nie było takich możliwości – zarówno finansowych, jak i wyposażeniowych. Były to czasy, kiedy do dyspozycji miało się ciężkie namioty, jedzenie w słoikach czy puszkach, sprzęt wykonany najczęściej z metalu. Także odzienie uczestników tamtej wyprawy dalece odbiegało od dzisiejszych standardów. Aby zdobyć pieniądze na konieczne opłaty czy podróż często stosowano niekonwencjonalne metody, na przykład podejmowano się handlu. Wszystko to powodowało, że uczestnicy takich wyjazdów zanim dotarli na miejsce już byli zmęczeni fizycznie i psychicznie. Posiadali jednak optymizm i wolę walki. Za wszelką cenę chcieli odnieść sukces. Dlatego czasami takie wyprawy kończyły się tragicznie.

Wyprawa w roku 1979 skończyła się sukcesem – dwóch uczestników, Krzysztof Wielicki i Kazimierz Śmieszko, weszło na szczyt. Jednak sukces ten został okupiony śmiercią trzech innych towarzyszy górskiej wspinaczki. Po części winien był brak łączności, po części – splot nieszczęśliwych i nieprzewidzianych sytuacji. Dzisiaj trudno to sobie wyobrazić, ale wtedy nie było radiotelefonów mogących zapewnić prawidłową łączność pomiędzy poszczególnymi grupami. Co do splotu nieszczęśliwych sytuacji, to chodzi tutaj o pomoc, jakiej Polacy udzielili ekipie japońskiej. To niestety zaważyło na ich sytuacji. Oczywiście nikt nie mówi, że nie należało pomóc potrzebującym. To oczywiste. Wtedy nawet przez myśl by nie przeszło nikomu, żeby nie pomóc. Tak postępuje się w górach. Niestety, to wydarzenie miało wpływ na dalszą drogę i w rezultacie przyczyniło się do nieszczęścia, jakie spotkało Polaków. Nie było ono z pewnością jego głównym powodem, co nie zmienia faktu, że Jerzy Pietkiewicz, Józef Koniak i Julian Ryznar pozostali na zboczu Annapurny na zawsze.

ŚLADAMI UCZESTNIKÓW
Regionalna Pracownia Krajoznawcza Karkonoszy przy ZGK w Bukowcu
oraz uczestnicy wyjazdu
ZAPRASZAJĄ
na relację z wyjazdu pokolenia dzieci po 40 latach
I Jeleniogórskiej Wyprawy w Himalaje Annapurna South
Miejsce: Pałac Bukowiec Bukowiec ul. Robotnicza 6
Data: 17 maja 2019
Godz.: 18:30
WSTĘP WOLNY
MIEJSCA Z DZIENNIKA WYPRAWY ODSZUKANE PO 40 LATACH
RELACJA Z ZAWIESZENIA TABLICY PAMIĄTKOWEJ 2019 W BAZIE Z 1979
HISTORIA NEPAŁSKIEGO PORTERA Z WYPRAWY 1979 ODSZUKANEGO W 2019



Tegoroczny wyjazd pokole-
nia dzieci miał na celu upamięt-
nienie tych, którzy za swoje ma-
rzenia oddali życie. Młodzi ludzie
wyruszyli z nadzieją, że dotrą do
dawnej bazy i odnajdą skałę, na
której zamocowano kiedyś tablicę
pamiątkową. Żeby jednak osią-
gnąć cel, musieli najpierw przejść
stosowną aklimatyzację. Dłatego
udali się śladami uczestników
tamtej wyprawy. Sprawa nie była
prosta, gdyż musieli przejść przez
przełęcz położoną na wysokości
ponad 5 tysięcy metrów nad po-
ziomem morza.

Udało im się jednak i po kil-
kunastu dniach ciężkiego marszu
dotarli pod Annapurnę. Ważny dla
nich był fakt, że ich wyprawa od-
bywała się dokładnie w tym sa-
mym czasie, co wyprawa rodzi-
ców. Mogli zatem, chociaż nie do
końca, poznać warunki pogodo-
we, jakie panowały 40 lat temu.

Jak się okazało, rozgłos wo-
kół tej wyprawy był tak duży, że
zjawił się u nich nepalski porter,
dzisiaj ponad sześćdziesięciolet-
ni mężczyzna, który jako dwudziestolatek brał udział w wyprawie w 1979 roku. To dzięki niemu dotarli bez
większych problemów do bazy. Trzeba wiedzieć, że od kilkudziesięciu lat ta baza nie jest używana, gdyż na
Annapurnę wchodzi się obecnie z innej strony.


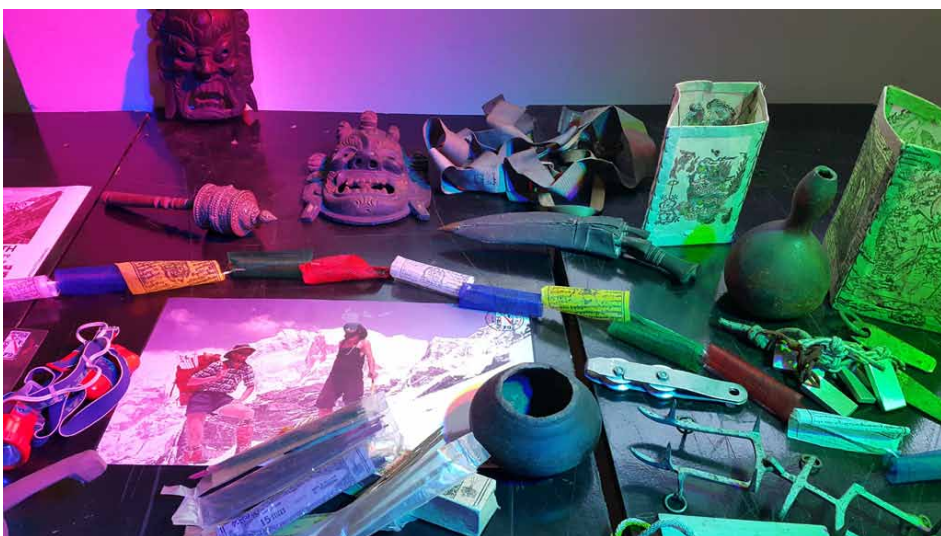
Po tak niespodziewanym obrocie sprawy wystarczyło tylko zedrzeć mech, by odczytać stary napis wyry-
ty na odnalezionej skale. Po jej oczyszczeniu zamocowano przywiezioną z Polski tablicę pamiątkową i w ten
sposób osiągnięto założony cel.

Na pamiątkę wykonano wiele zdjęć. Porównano je z tymi sprzed 40 lat. W zasadzie niewiele się zmieni-
ło. Uczestnicy wyprawy uzyskali zapewnienie od owego portera, że będzie dbał o bazę i jej otoczenie. Dzięki
temu wypadowi została nawiązana nowa współpraca.

Maciej Pietrowicz powołał fundację, której celem jest podtrzymywanie tych relacji. Zakupiono samo-
chód marki Jelcz, który po remoncie będzie służył jako mobilna baza z muzeum. Już niedługo Jelcz zaprezen-
tuje się publicznie.

Zapraszamy zatem na XXIV Festiwal Górski do Łądko-Zdroju, który odbędzie się w dniach 19–22 wrze-
śnia 2019 roku.

Krzysztof Tęcza



**Oferta wydawnictw
turystyczno-krajoznawczych
wydanych przez
Oddział Wrocławski PTTK**

Zlot Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków w Staniszowie

Tym razem członkowie Dolnośląskiego Towarzystwa Miłośników Zabytków zapragnęli odwiedzić ziemię jeleniogórską. Dlatego o zorganizowanie kolejnego spotkania poprosili piszącego te słowa.

Mając wolną rękę co do wyboru miejsca zakwaterowania, jak i obiektów przeznaczonych do zwiedzania, postanowiłem pokazać okolice mojego miejsca zamieszkania, czyli Staniszowa. Każdy, kto chociaż trochę zna historię, wie, że Staniszów od wieków uważany jest za najpiękniejszą wioskę w Kotlinie Jeleniogórskiej. Położony wzdłuż potoku Lutynka tworzy ciąg zabudowań wrzynających się w dolinki pomiędzy poszczególnymi wzniesieniami Wzgórz Łomnickich. Najbardziej znane są Witosza i Grodna. Jest jednak kilka innych niewiele ustępujących im, jeśli chodzi o roztaczające się z nich widoki.

Zlot zaplanowano na 15–17 marca 2019 roku. Oczywiście najpierw wybrałem bazę, do której mogliśmy wracać z poszczególnych wycieczek. Było to Młodzieżowe Schronisko Turystyczne w Staniszowie, które powstało dzięki współfinansowaniu przez projekt adaptacji budynku starej szkoły podstawowej na nowoczesny obiekt noclegowy. Środki pochodziły z Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Dolnośląskiego na lata 2007–2013. Dzięki temu z budynku niespełniającego wymogów stawianych obecnie obiektom szkolnym, powstało funkcjonalne schronisko dysponujące 49 miejscami noclegowymi, dużym parkingiem i placem zabaw. Ja ze swej strony zdradzę, że gdy moje losy związały się ze Staniszowem, brałem udział w różnego rodzaju spotkaniach integracyjnych z mieszkańcami wsi, np. zabawach sylwestrowych, organizowanych właśnie w tej szkole.

Ponieważ do Towarzystwa należą ludzie nie tylko z naszego województwa, zanim wszyscy dotarli na miejsce, upłynęło trochę czasu. Poświęciliśmy go na wspomnianie poprzednich spotkań oraz przekazanie nowości, jakie się pojawiły w grupach skupionych na co dzień w poszczególnych regionach.

Najważniejszym dniem każdego spotkania jest sobota. To właśnie wtedy oglądamy najwięcej zabytków czy ciekawych obiektów zlokalizowanych w najbliższej okolicy. Tym razem nasze spotkanie miało mieć nieco inny charakter. Z reguły wykorzystując własne środki lokomocji zwiedzaliśmy obiekty często położone w sporej odległości od bazy. Tym razem zaplanowałem więcej spacerów pieszych, tak by odetchnąć świeżym górskim powietrzem i nacieszyć się pięknymi widokami.

Oczywiście najważniejsze było pokazanie, czym dysponuje sam Staniszów, bo jest on miejscowością trochę nietypową. Mamy tutaj dwa pałace, dwa mniejsze obiekty udające pałace oraz kościół i zamek. Przy jednym pałacu powstał spory basen, w którym woda ogrzewana jest pompami ciepła, a przy drugim, gdzie dowiercono się do wód geotermalnych, powstaje kompleks, który docelowo będzie składał się z czterech basenów zewnętrznych i czterech wewnętrznych. Będą one sporą konkurencją dla jeleniogórskich term.

Pierwszym obiektem, do którego dotarliśmy, był Pałac Staniszów położony w górnej części miejscowości. Staniszów bowiem zawsze był podzielony na trzy części: górną, średnią i dolną. Największe dochody przynosiła część środkowa, w której zlokalizowany był browar i wytwórnia likierów oraz znajdowało się sporo warsztatów rzemieślniczych.

Pałac główny – jakbyśmy to dzisiaj powiedzieli – był siedzibą właścicieli wszystkich części wsi. W nim toczyło się życie towarzyskie. Dlatego kolejni potomkowie rodu książęcego von Reuss rozbudowali pierwotne założenie i wciąż je upiększali. Wokół pałacu utworzyli rozległe założenie romantyczne, które jeszcze dzisiaj urzeka i zachęca do spacerów.

Obiekt ten po II wojnie światowej nie miał początkowo dobrego zarządcy. Przez pewien czas szkolono tu strażaków.



O ich licznych wyczynach we wsi krążą legendy, niemniej są one wspomniane z uśmiechem. Gdy w końcu obiekt przekazany na rzecz Skarbu Państwa został kupiony przez rodzinę Dzidów, wszystko się zmieniło. Państwo Dzidowie postanowili osiąść tu na stałe i uczynić z tego miejsca nie tylko swój dom, ale obiekt wykorzystywany turystycznie. Dzisiaj znajduje się tu dobrze prosperujący hotel, restauracja i spa. Organizowane są coraz bardziej popularne spotkania muzyczne. Turyści cenią sobie możliwość odpoczynku podczas spaceru po kilkunastohektarowym parku otaczającym pałac.

My mieliśmy szczęście, gdyż po obiekcie oprowadzał nas sam właściciel, który zdradził wiele sekretów oraz przedstawił historię nie tylko założenia pałacowo-parkowego, ale także samej miejscowości. Dodam tylko, że Pałac Staniszków w roku 2012 został wpisany na listę Pomników Historii Prezydenta RP.

Chciałbym w tym miejscu serdecznie podziękować panu Wacławowi Dzidzie za bezpłatne udostępnienie obiektu i oprowadzenie po nim. Tym bardziej, że pozwolił nam także zwiedzić ukryty w dwuhektarowym zabytkowym parku niewielki „pałacyk” wykorzystywany dawniej jako kawiarnia (świadczą o tym stare napisy), a w bliższym nam czasach – jako dom dziecka. Dzisiaj grożący zawaleniem obiekt jest już zabezpieczony. Wykonano nowy dach i stropy. Myślę, że za kilka lat będzie to kolejna wizytówka Staniszowa.

W Staniszowie Dolnym odwiedziliśmy Pałac na Wodzie, o którym już wspominałem.

Po takiej dawce wrażeń wróciliśmy do schroniska, by napić się kawy i zjeść deser. Pozwoliło to na nabranie sił na kolejne doznania. Muszę zaznaczyć, że odpoczynek ten był ważny, gdyż przez resztę dnia mieliśmy być spieszeni. Samochody pozostały na parkingu, a uczestnicy zlotu mogli wreszcie przekonać się, ile mamy wzgórz w Staniszowie.

Pierwszym celem spaceru była góra Witosza, czasami nazywana Bismarckiem, co jest związane z faktem postawienia w 1903 roku na samym szczycie pomnika Bismarcka. Takich pomników powstało kilkadziesiąt i to na całym świecie. Ten staniszowski był solą w oku nowych władz i dlatego od razu nakazały miejscowemu sołtysowi jego zburzenie. Jak się jednak okazało – łatwo powiedzieć: zburzcie, trudniej wykonać. Pomnik został wykonany z solidnych granitowych elementów, więc wysłani z młotami i dłutami ludzie swoją pracę zakończyli bardzo szybko. W sumie tylko się spocili. Po kilku takich próbach ktoś podjął decyzję o wezwaniu saperów i wysadzeniu pomnika w powietrze. Dokonano tego dopiero za drugim podejściem. Pierwszy raz przeceniono możliwości użytego dynamitu. A i drugim razem wysadzono tylko część pomnika. Cokolwiek stoi do dziś.

Na szczęście kiedyś w ramach upiększania krajobrazu ksiądz Reuss kazał wykuć schody prowadzące na samą górę. Pozwoliło nam to nieco zaoszczędzić na wysiłku. Najpierw jednak obejrzelśmy ustawiony koło schodów pomnik upamiętniający mieszkańców wsi poległych podczas Wielkiej Wojny. Początkowo stał po drugiej stronie ulicy. Po przybyciu tutaj osadników został przewrócony, a na jego podstawie wybudowano grotę i ustawiono figurę Matki Boskiej. W zeszłym roku pomnik został wyciągnięty z chaszczki i ustawiony w obecnym miejscu. Później poddano go piaskowaniu, a ostatnio wykute napisy pomalowano czarną farbą. Wszystko wykonali mieszkańcy Staniszowa w czynie społecznym.

Wejście na Witoszę to kilkaset schodów, można zatem się zasapać. Na szczęście droga jest w naturalny sposób podzielona na kilka etapów. Chodzi o to, że to właśnie tutaj mieszkał Hans Rischmann zwany latającym prorokiem. Wykorzystywał on kilka z wielu istniejących tutaj jaskiń. Najpierw doszliśmy do Skalnej Komory, w której nawet zimą jest w miarę ciepło. Można tutaj zagrzebać się w nawiane liście i spokojnie przeczekać niepogodę za zasłonkami utworzonymi ze zwisających wielkich lodowych sopli.

Rischmann był bardzo znanym prorokiem. Przepowiedział w swoim życiu wiele ważnych wydarzeń, choćby zawalenie się ratusza jeleńogórskiego czy wielki pożar miasta. Jako jeden z nielicznych przewidział także swoją śmierć mówiąc: *Jutro zadzwonią na moim pogrzebie*. Był on znany z umiejętności przemieszczania się drogą powietrzną oraz z przebywania w tym samym czasie w dwu różnych miejscach.



Swoje przepowiednie wygłaszał przede wszystkim z usytuowanej pod samym szczytem jaskini. Gdy miał coś do powiedzenia, wydawał przeraźliwe buczenie. Wtedy wszyscy gnali tam, by wysłuchać, co ma do przekazania.

Po pokonaniu tylu schodów każdemu należy się chwila wytchnienia. My, dzięki ustawionym na szczycie drewnianym stołom i ławeczkom, mieliśmy gdzie odpocząć. Oczywiście najlepiej wyszli na tym ci, którzy wybierając się na spacer zabrali coś do plecaków.

Sam szczyt, a właściwie widok rozpościerający się z niego, jest niesamowity. Jest on określany jako „widok lotniczy”. Faktycznie, zmęczona osoba stając przy barierce ma wrażenie, że zaraz odfrunie.

W dawnych czasach mówiono, że z Witoszy można było zobaczyć Widmo Brockenu. Niestety, nie znam żadnego żyjącego człowieka, który by potwierdził, że widział to niezwykle zjawisko. Może jest tak dlatego, że – według legendy – ten, kto raz zobaczył owo zjawisko, a w krótkim czasie nie doświadczył tego ponownie, tracił życie w górach podczas wędrówki. Pamiętam za to, że przez kilka lat na Witoszy żyła koza, która uciekła z jakiegoś gospodarstwa. Zachowywała się jak prawdziwa kozica. W zeszłym roku w rejonie szczytu pojawił się wilk. Na szczęście był to pojedynczy osobnik.

Klucząc lasem pomiędzy licznymi tu skałami doprowadziłem wszystkich do ukrytego na skraju lasu miejsca, gdzie mamy dowód na to, że przepowiednie Rischmanna sprawdzały się. Kiedyś bowiem ogłosił, że zło panujące na świecie, nienawiść i zawiść ludzka są tak duże, iż aby im przeciwdziałać zostanie on po swojej śmierci na tym świecie jako skamielina, by kiedyś ożyć i walczyć z tym złem.

Tak naprawdę pokazany przeze mnie naturalnej wielkości pomnik Rischmanna został wykonany przez znanego artystę Jerzego Jakubowa z Kowar dla prywatnego inwestora, który postawił rzeźbę na swoim polu.

My, po zrobieniu pamiątkowych zdjęć i „pogłaskaniu” stopy proroka, wróciliśmy do schroniska, gdzie czekał ugotowany przez pozostałych obiad. Po drodze obejrzelśmy jeszcze krzyż pokutny. Jest on obiektem bardzo wyjątkowym, gdyż nie tylko przedstawione są na nim aż dwa narzędzia zbrodni, ale w dodatku są one wypukłe.

Kolejnym celem sobotniego zwiedzania była Grodna z Zamkiem Henryka. Najpierw jednak obejrzelśmy wyjątkowy kościół pw. Przemienienia Pańskiego, do którego wchodzi się schodami w dół. Jest on bowiem postawiony na zboczu, a wejście wykonano od najwyższej strony. Na sporym placu tuż za kościołem w zeszłym roku ustawiono pomnik z okazji stulecia niepodległości, wykorzystując cokolwiek po pomniku upamiętniających ofiary wojny francusko-pruskiej z 1870 roku.

Udaliśmy się jeszcze na cmentarz, ale niestety nie zachowały się już na nim stare nagrobki – kilka płyt leży na skarpie przed płotem, kilka ustawiono przy kościele. Spacer na cmentarz mógł się wydawać bezowocny, jednak taki nie był – pokazałem zwiedzającym ciekawostkę ukrytą dzisiaj pod bluszczem. Otóż kiedyś w najważniejszym miejscu cmentarza, na skałach, stał dębowy wielki krzyż ufundowany przez przybyłego tu po wojnie osadnika. Gdy drewno zbutwiało, syn owego osadnika postanowił postawić nowy krzyż. Różnica polegała na tym, że tym razem został on wykonany z granitu. Jego autorem jest wspomniany już Jerzy Jakubow, który wraz z synami, fundatorem i jeszcze kilkoma osobami (w tym piszącym te słowa) zamontował ów krzyż.

Dalszy spacer sprawił jego uczestnikom wiele radości. Raz, że pogoda wciąż była ładna, dwa, że nie było już tak stromo jak na Witoszę. Po dotarciu na najwyższe wzniesienie Wzgórz Łomnickich – Grodną (506 m n.p.m.) – zastaliśmy opiekuna zamku, który od jakiegoś czasu stara się wyremontować ten obiekt i przywrócić go do życia. Nieprawdą jest

bowiem, że Zamek Henryka to stara ruina. Został wzniesiony na polecenie księcia Reussa, który pragnął, podobnie jak hrabia Schaffgotsch, mieć trwałą ruinę. Różnica polegała tylko na tym, że obiekt przypominał starość tylko z zewnątrz, wewnątrz natomiast był obiektem użytkowym. Znajdowała się tam kuchnia, sala balowa, sypialnie.



Dzisiaj, po wykonaniu cięć odsłonowych, silne wiatry poprawiły te cięcia i zamek widać z daleka. Zdradzę sekret – Grodna to miejsce wykorzystywane zarówno przez turystów, jak i mieszkańców Stanisłowa oraz Sosnowki czy Marczyca na spotkania. Znane są spotkania noworoczne, podczas których wszyscy bawią się przy ognisku.

Jak widzicie, sobota była pełna wrażeń. Dlatego myślałem, że po kolacji wszyscy grzecznie pójdą spać. Jednak przeliczyłem się. Najpierw kolega Marek Łuszczynski wygłosił prelekcję o zasobach przyrodniczych naszego regionu, później pozwoliłem sobie, oczywiście za jego przyzwoleniem, wykorzystując przygotowany przez niego przegląd zdjęć, opowiedzieć o historii przedstawianych obiektów oraz o ciekawostkach, a na końcu rozpoczęły się tańce i dyskusje przy zastawionych stołach.

Niedziela zapowiadała się piękna i słoneczna, przynajmniej tak mówiły prognozy. Jak się później okazało, tak było, ale co jakiś czas pojawiały się niemal huraganowe wiatry. Zanim ruszyliśmy w trasę, czekało nas tradycyjnie przygotowywane wspólnymi siłami śniadanie. Nie każdy bowiem jest w stanie pokroić kilka kilogramów cebuli nie roniąc łzy. Najważniejszą potrawą jest oczywiście jajecznica wykonana przynajmniej ze stu jaj, kilku kilogramów boczku, kiełbasy i cebuli. Smażona na maselku. Nawet nie wiecie, jak duża musi być patelnia by usmażyć taką jajecznicę. A jak później boli ramię tego, który to wszystko miesza, by się nie przypaliło.

Po tak sutym śniadaniu wszyscy biorą się za sprzątanie obiektu. Trzeba powynosić śmieci, posprzątać podłogi, zmyć naczynia. Dopiero wtedy możemy z czystym sumieniem wyjechać na ostatnią wycieczkę.

Tym razem za cel obraliśmy zamek Chojnik. Najpierw jednak dotarliśmy do cmentarzyka rodziny Coghe'ów. Jest to miejsce pochówku przedstawicieli wolskiej rodziny pracującej dla Schaffgotschów.

Później trzeba było trochę się napocić, by dotrzeć do Zbójeckich Skał, poniżej których znajduje się Dziurawy Kamień – jaskinia szczelinowa o długości 20 metrów zakończona prawie 4-metrowej wysokości kominem. Jest to miejsce, w którym przychodzi chwila prawdy, dlatego nie wszyscy decydują się tam wejść. Ja po raz pierwszy pokonałem ją mając zaledwie kilka lat. W tamtych bowiem czasach w soboty czy niedziele większość mieszkańców Sobieszowa i okolicznych miejscowości zabierała dzieci i szła na Chojnik. Przeważnie przez Dziurawy Kamień.

Grupa podzieliła się. Ci zdecydowani przeżyć prawdziwą przygodę ruszyli za mną i powolutku wyłaniali się kolejno z prawie niewidocznej dziury ukrytej w skałach. Tym razem udało się wszystkim. Uprzedzam jednak, by nie próbować przechodzenia jaskini, gdy pada deszcz. Jest wtedy bardzo ślisko i można zrobić sobie krzywdę. A najczęściej nie jest się w stanie pokonać mokrego komina.

Dalsze podejście do zamku już na nikim nie zrobiło wrażenia. U celu co prawda nie zastaliśmy kasztelana zamkowego Jędrka (któremu dziękujemy za zaproszenie), jednak bardzo gościnnie przyjął nas dzisiejszy opiekun i zaprosił do środka. Tam poznaliśmy legendę o Kunegundzie, obejrzelśmy pręgierz, pomnik papieski, ale największe zainteresowanie wszystkich wzbudziły przekazane przeze mnie informacje o pracach remontowych, jakie wykonywane są od lat dzięki zdobywaniu finansowania zewnętrznego przez Oddział PTTK „Sudety Zachodnie”. Od razu wyjaśniam, że nasz Oddział PTTK jest właścicielem zamku. I to my mamy moralny obowiązek utrzymania budowli w jak najlepszym stanie, jest to naszym działaniem codziennym. Robimy wszystko co możliwe, by zamek się nie rozsypał. Do tej pory pozyskaliśmy spore środki na remonty, zarówno bieżące, jak i te ratujące obiekt przed destrukcją. Szkoda tylko, że niektórzy decydujący o przyznawaniu środków nie rozumieją tego, iż są one potrzebne teraz, a nie w jakiejś nieokreślonej przyszłości.

Obecnie w utrzymaniu zamku w przyzwoitym stanie wspiera nas (na tyle, na ile może sobie pozwolić) agent, który – będąc tutaj codziennie – jako pierwszy dostrzega pojawiające się zagrożenia. Dzisiaj najgorszym zagrożeniem jest bluszcz (który rozsada mury zamkowe) oraz chore i niestabilne drzewa mogące w każdej chwili przewrócić się. Niestety, nie zawsze możemy usuwać takie zagrożenia. Czasami, wbrew zdrowemu rozsądkowi i logice, zabrania się nam likwidować je.

Ostatnim miejscem, którego nie mogliśmy pominąć będąc na Chojniku, była Karczma. Teraz, gdy przejął ją nowy gospodarz, serwują tu smaczne i niedrogie posiłki. Warto zatem wejść na chwilę, by odpocząć i skorzystać z jego oferty.

A my, zadowoleni z tego, co widzieliśmy, ruszyliśmy spokojnie czerwonym szlakiem, by dotrzeć do samochodów pozostawionych na parkingu Transgranicznego Centrum Turystyki Aktywnej – miejsca chętnie odwiedzane zarówno przez mieszkańców, jak i turystów.

Mam nadzieję, że moi goście w ciągu tych kilku dni chociaż trochę zapoznali się z potencjałem, jaki kryje ziemia jeleniogórska i że jeszcze nieraz tu wrócą, zabierając rodziny i znajomych.

Krzysztof Tęcza

Przewodnicy sudeccy w ogrodzie japońskim „Siruwia”

W poniedziałek 20 maja 2019 roku przewodnicy sudeccy z Koła przy Oddziale PTTK „Sudety Zachodnie” w Jeleniej Górze zostali zaproszeni na spotkanie szkoleniowe do ogrodu japońskiego „Siruwia”. Właściciele i twórcy tego wyjątkowego miejsca, Jakub Kurowski i Sylwia Kośmider-Kurowska, postanowili pokazać zmiany, jakich dokonano w ostatnim okresie. Przede wszystkim uporządkowano ogród i usunięto szkody wyrządzone tutaj ostatnio przez wichury. Pracy było bardzo dużo, jednak pracownicy poradzili sobie nad wyraz dobrze. Dzisiaj ten, kto nie widział zniszczeń, nie uwierzy, że takie miały miejsce.

Po ogrodzie grupę oprowadzał osobiście Jakub Kurowski. Już przy wejściu pochwalił się nową oryginalną dachówką, która wreszcie dotarła do Przesieki. Trzeba przyznać, że nadaje ona wejściu zupełnie inny wymiar.

Przypomniął, że w ogrodach japońskich najważniejsza jest kompozycja. Wbrew pozorom kwitnące kwiaty wcale nie są najważniejsze, zaburzają one bowiem ustaloną kompozycję, która ma swoje ściśle określone proporcje. Kolorowe kwiaty odwracają od nich uwagę zwiedzających, którzy często w pośpiechu nie są w stanie zauważyć ładu i harmonii występującej w ogrodzie.

Obecnie wprowadzane są spore zmiany. Przede wszystkim zostanie zwiększona powierzchnia ogrodu. Pozwoli to na pokazanie większej liczby założeń kompozycyjnych. Dziś układane są kamienie, tworzone murki, ścieżki i różnego rodzaju kamienne schodki. Gdy prace te zostaną zakończone, będzie można przystąpić do nasadzeń.

Na razie dostępny jest teren głównego ogrodu, w którym, zgodnie z założeniami takich kompozycji, zobaczymy dużo wody, roślin i kamieni. Najważniejsze są wodospady – jeden żeński, drugi męski. Żeński, dający początek – czyli życie – strumieniowi, nie jest wielki, a raczej skromny. Męski jest o wiele większy, woda spada w nim z wysokości 6 metrów, dlatego wyraźnie słychać, gdy uderza w kamienie. Widać też, że tworzy jeziorzko sporych rozmiarów. Warto tutaj przejść się pod wodospadem, by poczuć drobinki wody tworzące mgłę. Jednak mimo wielkości tego wodospadu, jego siły i mocnych doznań, jakie oferuje, nie można powiedzieć, że jest on ważniejszy od pierwszego, malutkiego wodospadu. Według filozofii, pierwiastki żeński i męski stawiane są na równi, mają taką samą wartość.

Oczywiście w ogrodzie nie ma wyłącznie roślin kojarzonych z Japonią. Występują tutaj także „nasze” krzewy, np. rododendrony. Pierwszy z nich znajduje się tuż obok wodospadu żeńskiego. Jego ogrom zniwalała, a do tego jego kwiaty mają biały kolor. Ze względu na rozmiar spokojnie możemy oszacować jego wiek na dobrze ponad 100 lat. Akurat ten okaz został przeniesiony tutaj spod domu mieszkalnego, z miejsca, w którym przeszkadzał domownikom i w zasadzie, prędzej czy później, byłby skazany na zagładę. Państwo Kurowscy postanowili uratować ten krzew i przesadzili go w nowe miejsce. Trzeba przyznać, że zadanie to wcale nie było takie proste. Mimo że roślina ma tylko kilka metrów wysokości, to – aby jej nie uszkodzić – trzeba było wykopać ją i przenieść z bryłą ziemi o średnicy ponad 2 metrów. Niby nic, ale jak się okazało ani koparka, ani prosty dźwig nie były w stanie przemieścić takiego ładunku. W końcu się udało i dzisiaj ten piękny rododendron cieszy oczy zwiedzających ogród.

W ogrodzie japońskim bardzo ważną budowlą jest herbaciarnia, usytuowana na wzniesieniu pośród zieleni, ale rosnącej nie za blisko. To w tym miejscu gospodarz wita swoich gości. Zanim jednak to nastąpi, musi on posprzątać



prowadzącą do herbaciarni ścieżkę, później zerwać trochę zielonych liści i rzucić na nią. Chodzi o to, by nie była taka idealna. Idący do herbaciarni mogą zdziwić się, że ścieżka otoczona jest żwirkiem zagrabionym w dziwne wzory. Nie wiedzą bowiem, że zejście ze ścieżki na wzory znajdujące się na żwirze zwiastuje pecha na okres 5 pokoleń. Pech ten obejmuje winowajcę oraz 2 pokolenia



jego przodków i 2 pokolenia następców. Możemy w to wątpić, bo przecież pokolenia wstecz już się spełniły, ale niezupełnie jest to prawdą, istnieją bowiem tzw. światy równoległe. Wszystko jednak da się naprawić. W tym wypadku zniweczenie pecha jest bardzo proste – wystarczy popełnić seppuku. Prawda jakie to proste?!

Obok herbaciarni rośnie bardzo ciekawa roślina – jest to gunnera olbrzymia. Posadzono ją na mieszance kompostowej – w wykopany olbrzymi dół wrzucono kilka wywrotek nawozu. Dzięki temu zabiegowi bylina otrzymuje tyle wody, ile potrzebuje, a potrzebuje jej kilkaset litrów dziennie. Na razie widoczna roślinka jest niewielka, jednak gdy wyrosną liście będzie mierzyła kilka metrów wysokości. Niestety w naszych warunkach trzeba dbać o taką roślinę w czasie zimy. Zimno to dla niej wróg śmiertelny. Dosłownie.

Często, a w zasadzie zawsze, w ogrodach japońskich zobaczymy kamienną latarenkę. Jak się okazuje, Japończycy wcale nie stawiali takich latarenek dla ludzi, a dla błakających się po świecie dusz. Prawda jest taka, że dusza człowieka po śmierci błądzi po ziemi przez 40 dni. W tym czasie musi zastanowić się nad tym, co w minionym życiu było zrobione dobrze, a co źle. Musi dojść do tego, co należy poprawić w nowym wcieleniu. Tak, w nowym, gdyż Japończycy wierzą w kolejne życia. I właśnie dlatego sama śmierć ich tak nie przeraża. Gdy błakająca się dusza dojdzie do potrzebnej wiedzy – odchodzi w zaświaty.

W ogrodzie została utworzona specjalna aleja, na której ustawiono wiele okazów bonsai. Znajduje się tu m.in. „śniegowe drzewo”. Jest to jedyny taki okaz w Polsce i w Europie. Niektórzy chcą takie drzewka hodować w domu i dziwią się, że one umierają. Prawda jest taka, że rośliny, które żyją w naturze nie mogą być trzymane w domu.

Przesiecki ogród wzbogacił się także o małe muzeum, w którym możemy obejrzeć kolekcję mieczy samurajskich oraz zbroi. Zobaczymy tutaj miecz posiadający w ocenie 4 z 5 możliwych gwiazdek (5 gwiazdek oznacza, że dany przedmiot jest uznany za skarb narodowy i nie może opuścić Japonii). Miecze japońskie różnią się od europejskich sposobem kucia stali. Podczas obróbki mają jednakową szerokość. Dopiero później, w trakcie ostrzenia i polerowania, środek miecza staje się nieco węższy od końcówek. Dobry miecz japoński składa się nieraz z 3 tysięcy warstw. Aby miecz był ostry, hartowano go w odpowiedni sposób. Ostrza pokrywano specjalną gliną. Końce grubiej, środek cienie. Wtedy miecz, początkowo prosty, po wyjęciu z paleniska i włożeniu do wody wyginał się. I to było największą tajemnicą i wiedzą mistrza. Zachował się przekaz mówiący o tym, jak pewien uczeń z 20-letnim stażem, zniecierpliwiony długością okresu nauki, postanowił przechytrzyć mistrza i posiąść jego tajemnicę. Gdy mistrz wyjmował miecz z ognia, uczeń dotknął go, by sprawdzić temperaturę, jaką w tej chwili posiadał miecz. Niestety przeliczył się. Mistrz jednym ruchem, bez chwili wahania, obciął mu rękę.

Myślę, że nowa dawka wiedzy, jaka została przekazana przewodnikom, pozwoli im na wyprowadzanie turystów z błędnych przekonań co do samurajów, sposobu postrzegania przez nich życia i tego, jak naprawdę Japończycy widzą swoje życie w otoczeniu przyrody.

Krzysztof Tęcza

Sergiusz Jastrzębski

Urodził się w polskiej ziobożalej rodzinie szlacheckiej Bazylego Jastrzębskiego, pracownika banku w Charkowie, 2 października 1857 r. Miał 2 braci i 3 siostry. Jako dziesięcioletek Sergiusz podjął naukę w gimnazjum, które ukończył w 1875 r. Wstąpił na wydział medyczny Uniwersytetu Charkowskiego. Wraz z kolegami zaczął głosić hasła *Narodnej Woli*. Jeździł po nielegalną literaturę do Kijowa i Odessy, kontaktował się z innymi młodymi buntownikami (jak siebie nazywali). Czytał książki autorów krytykujących ówczesne stosunki społeczne (Ferdynand Lassalle, Karol Marks, Herbert Spencer). Został aresztowany (1876), osadzony w harkowskim więzieniu, ale wkrótce uwolniony.

Wyjechał do Szwajcarii, mieszkał w Genewie. Krótkotrwały wyjazd do Lwowa zakończył się dla niego miesięcznym aresztem, wyrokiem sądu (1877) i wydaleniem z Austrii. Będąc w Szwajcarii Sergiusz Jastrzębski wraz z innymi rewolucjonistami zorganizował Towarzystwo Pomocy Politycznym Emigrantom z Rosji. Brał udział w wydawaniu nielegalnej literatury. W londyńskiej gazecie zamieścił artykuł o ciężkich warunkach pobytu więźniów w charkowskim więzieniu. Gdy wrócił do Charkowa (1880) został aresztowany, a sąd skazał go na 15 lat pracy katorżniczej w kopalni, ale z powodu młodego wieku wyrok zmniejszono do 10 lat.

Wysłano go z grupą innych więźniów politycznych na Syberię. Jechali i szli do Krasnojarska i dalej do Irkucka. Płynęli w łódkach do Ust'-Kary. Przebywając w więzieniu „Średnia Kara” Jastrzębski pracował w odkrywkowej kopalni złota. W następnym więzieniu „Dolna Kara” początkowo dano więźniom możliwość czytania książek z biblioteki i doksztalcania się przez słuchanie wykładów profesorów, którzy się tam znaleźli. Po udanej ucieczce ośmiu więźniów warunki się pogorszyły. Zabroniono spacerów



S. Jastrzębski na obrazie Pauliny Kopestyńskiej

i spotkań z żonami, które przebywały w więzieniu obok. Gdy kierownictwo więzienia ogłosiło wprowadzenie kary chłosty, więźniowie odpowiedzieli głodówką. Kierownictwo musiało złagodzić kary. W 1885 r. komendant więzienia pozwolił Jastrzębskiemu zamieszkać z żoną „na wolności”, tzn. w domu na osiedlu przywieziennym. Żona, która z własnej woli przybyła tu za mężem, pracowała jako ekonomka u prawosławnego duchownego z dziesięciorgiem dzieci.

W marcu 1886 r. Jastrzębskiemu zamieniono więzienie na zesłanie w Jakucji. Do Irkucka dotarł latem. Żona wyjechała do centralnej Rosji, a on, pod konwojem dwóch żołnierzy, udał się w okolice Jakucka. Mieszkał kolejno w 3 różnych *ulusach* okręgu jakuckiego. Zajmował się rolnictwem i poznawaniem życia i kultury Jakutów.

Wschodniosyberyjski Oddział Imperatorskiego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego zaproponował Jastrzębskiemu udział w jakuckiej ekspedycji im. Aleksandra Sibirakowa (żył w latach 1849–1893). Zesłaniec podjął się badania języka i folkloru Jakutów. Przeprowadził się do Diupsiuńskiego Ułusu do domu wykształconego Jakuta A. Afanasjewa, jako nauczyciel dla jego dzieci. Dzięki pomocy gospodarza młody badacz przeniknął – jak napisał w autobiografii – tajemnice ludowego słownictwa Jakutów. Zapoznał się z jakuckim heroicznym eposem *olonho*, złożonym z wielu podań o walce legendarnych bohaterów z fantastycznymi stworami zagrażającymi ludzom. Epos ten zawiera ponad 10 tys. wierszy tekstu poezji i prozy, śpiewanego przez *olonhosutów* pod akompaniament ludowych instrumentów muzycznych. Zapoznał się z tradycyjnymi wierzeniami jakuckimi, które można odnieść do animizmu. Oddają one pokłon panteonowi bóstw i duchów z eposu *olonho*, powiązanych ze zjawiskami przyrody. Jastrzębski opublikował pierwsze prace na temat języka, folkloru i wierzeń tego narodu. Jako uczestnik jakuckiej ekspedycji IRTG uzyskał od generała-gubernatora prawo przesiedlenia się do Irkucka w celu opracowywania materiałów ekspedycji. Podjął pracę w miejscowym banku i związał się z oddziałem IRTG. Przyjechała do niego żona. W Irkucku badacz wydał kilka swoich prac o języku i wierzeniach Jakutów. Ukazała się główna jego praca „Gramatyka języka jakuckiego” (1900), wysoko oceniona przez specjalistów. Edward Piekarski w związku z tym pisał: *Język narodu to wyrażenie całego jego życia, to muzeum, w którym zebrano wszystkie skarby jego kultury i intelektu*. Jastrzębski przełożył na rosyjski i wydał „Przykłady ludowej literatury Jakutów”, umieszczając w zbiorze 5 podań *olonho*, ponad 400 zagadek, 200 wyrażeń, liczne przysłowia i opisy wierzeń Jakutów. Jego przekłady ustnej twórczości tego narodu zostały ocenione jako bardzo bliskie oryginałom i dobrze oddające koloryt epoki z końca XIX wieku. Wraz z Mikołajem Witaszewskim Jastrzębski opracował „Słownik jakucko-rosyjski”, którym posługiwali się zesłańcy.

Gdy w 1900 r. dzięki staraniom IRTG otrzymał prawo powrotu do europejskiej części państwa rosyjskiego, przeniósł się do Woroneża, a potem do Odessy (1902). Czynnie uczestniczył w rewolucji 1905 r.

W czasach radzieckich pracował (od 1920 r.) w odeskim urzędzie statystycznym. Stał się współpracownikiem Akademii Nauk ZSRR w dziedzinie wiedzy o Jakutach. Napisał autobiografię (1925), uzupełnił „Gramatykę języka jakuckiego” i ponownie ją wydał w Moskwie (1938).

Sergiusz Jastrzębski zmarł w Odessie 3 sierpnia 1941 r., gdy rozpoczynało się oblężenie miasta przez 4. armię rumuńską współdziałającą z wojskiem niemieckim.

9-krotnie większa od Polski Republika Sacha (Jakucja), w której, jak mówią, mieszka milion ludzi i 100 tysięcy niedźwiedzi, nie zapomina o polskich zesłańcach-badaczach. W Jakucku, 300-tysięcznym mieście zbudowanym na 300-metrowej zmarzlinie, w muzeum można zapoznać się z losami Sergiusza Jastrzębskiego, Edwarda Piekarskiego, Wacława Sieroszewskiego, Adama Szymańskiego i Mikołaja Witaszewskiego oraz ich wkładem w poznanie dziejów kultury i języka Jakutów. W mieście wzniesiono pomnik Polaków zasłużonych dla Jakucji. Okresowo, zwłaszcza w związku z rocznicami, organizuje się sesje naukowe umożliwiające wymianę poglądów między naukowcami, którzy badają XIX-wieczną historię kraju, ściśle splecioną z losami polskich zesłańców.



Janusz Fuksa

Jakuck – pomnik zasłużonych Polaków

Suwalszczyzna to też Szurpiły i Sudawia nad Szeszupą

Stąd panował książę Sziurpa

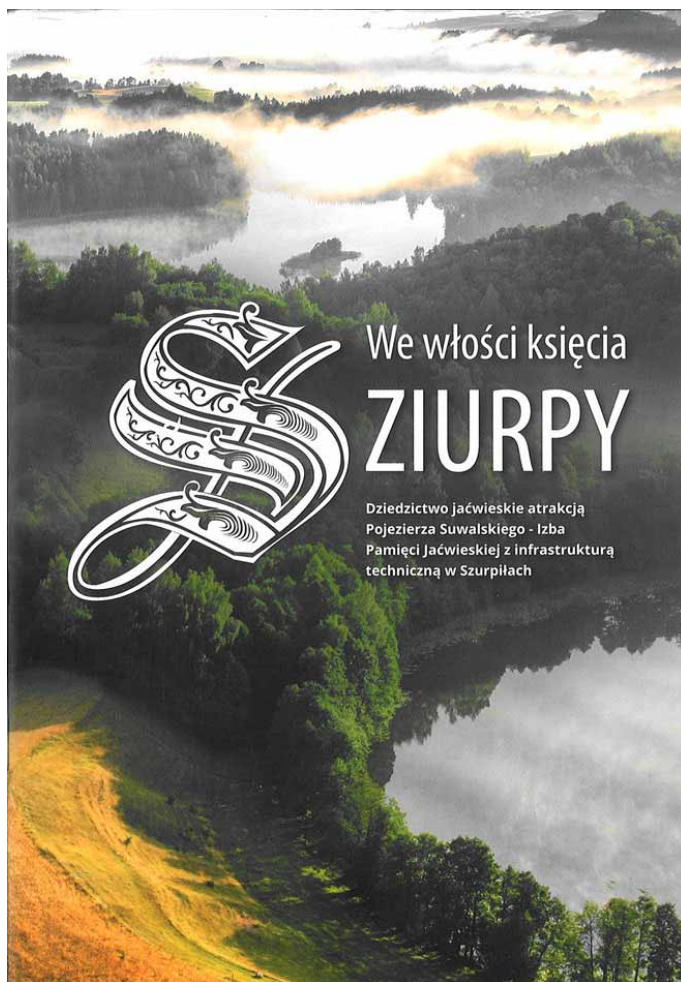
Wikingowie – zapomniani, a kiedyś byli potęgą, znani z waleczności, przebiegli, okrutni. Przez wiele lat niepokonani, rozplynęli się w niebycie dziejowym. Skandynawscy wojownicy, świetni jeźdźcy konni, mogli wędrować daleko, jako kupcy, okupanci nowych ziem; czasem osiadali tam, dokąd przybyli. Z krain północnych Europy docierali do Rusi, Bułgarii, a nawet Hiszpanii i Kanady. Wywodzili się z terenów dzisiejszej Szwecji, Danii i Holandii. Wędrowali dziewczymi i wytyczonymi szlakami lądowymi, umieli też i mieli czym żeglować.

Nie znamy wszystkich szlaków wędrówek Wikingów, znacznie więcej wiadomo o Jaćwingach. To lud, który zniknął z terenów dzisiejszej północno-wschodniej części Polski, z Suwalszczyzny, inaczej zwanej Jaćwieżą lub Sudawią. Byli krewniakami plemion bałtyjskich, Litwinów, Łotyszy, Prusów i też byli potęgą w swoich włościach. Budowali trudno dostępne grody i osiedla, zazwyczaj doskonale warowne, trudne do zdobycia. Najczęściej na niedostępnych wzniesieniach wśród bagien, na przesmykach między jeziorami, otoczone ostępami leśnymi.

Dziś ślady po Jaćwingach są odkrywane przez krajoznawców i turystów, a jeszcze kilkadziesiąt lat temu o ich obecności na Suwalszczyźnie powiadamiali nas archeolodzy. Tak doszło do odkrycia siedziby jaćwieskiej, potężnego kiedyś grodu, położonego na Górze Zamkowej opodal jeziora Jegłówek i na wyniosłym brzegu jeziora Szurpiły. W pobliżu płynie piękna, kultowa, częściowo niemal górską, rzeka Czarna Hańcza i jej dopływ – nie mniej urodziwa, o krętym nurcie, Szeszupa. Nazwa grodu i jeziora pochodzi zapewne od imienia księcia Sziurpy. Dostęp do zrekonstruowanej warowni ułatwia szlak turystyczny wytyczony od miejscowości Szurpiły. O jaćwieskim grodzie z XIII wieku świadczą wykopaliska, w których odkryto wiele okazów starej broni, zbroi, ozdób ludzkich ubiorów i uprząży końskich.

Historycy udokumentowali, że przez prawie trzy stulecia Jaćwingowie byli wespół z Prusami i Litwinami najeźdźcami, rabusiami i okupantami sąsiednich Słowian, a zarazem walczyli z Krzyżakami, ale ulegli ich potędze w 1238 roku. Stało się to pomimo zbudowania obronnych grodów i twierdz, świetnego uzbrojenia i licznej jazdy konnej. Przeprowadzono badania archeologiczne starych jaćwieskich cmentarzysk w Żytkiejmach, Burdeniszkach nad Wigrami i Deguciach opodal Gołdapi – bogate nekropolie świadczą o historii Jaćwieży.

Gród jaćwieski nad jeziorem Szurpiły pochodzi z IX wieku i po czterech wiekach osiągnął znaczenie, które pozwala na nazwanie go współczesnym językiem stolicą. Skupiało się w niej życie najważniejszych rodów jaćwieskich, a okolica stanowiła o bogactwie i wydajnej kulturze rolnej. Wielkie i małe jeziora pośród wzgórz (jako łowiska ryb) i lasy (pełne rozmaitej zwierzyny) były magazynami żywności. Jaćwingowie zajmowali się tkactwem i innymi rzemiosłami – np. wytwarzali metalowe ozdoby (archeolodzy odkryli je



m.in. w Targowisku opodal Szurpił). Parali się także rybołówstwem, uprawiali len i konopie, produkowali wyroby ze skór i owczej wełny.

Wyprawy wojenne Jaćwingów polegały na nawalnym, niespodziewanym najeździe i rabunku wszelkich dóbr u sąsiadów, a nawet w bardzo odległych od ich stałych siedzib okolicach. Po takich wyprawach wracali do swoich umocnionych grodzisk w trudno dostępnych miejscach, jak właśnie to na Górze Zamkowej nad jeziorem Szurpiły.

Dziś Szurpiły to niewielka wieś, która powstała dzięki kamedułow wigierskim w 1667 roku. Niegdyś była siedzibą wspomnianego wodza Sziurpy. Jest sławna nie tylko z powodu odkrycia dawnej siedziby jaćwieskiego przywódcy, ale także zjawiska znanego jako anomalia magnetyczna, myląca odczytywanie wskazań kompasów i busoli. Głęboko, ponad tysiąc metrów w głąb ziemi, znajdują się złoża rzadkich pierwiastków, zawartych w rudach hematytu i magnetytu. Mało brakowało, a około 40 lat temu powstałoby w tych stronach zagłębie górnicze i huty (odpady przemysłowe planowano składować w naturalnych zagłębieniach, dolinach, mokradłach i jarach okolicznych terenów).

Do Szurpił łatwo dotrzeć niebieskim szlakiem rowerowym ze wsi Szeszupka przez Rytkę albo drogami terenowymi przez Kazimierówkę, Sidorówkę, Czajewszczyznę i Wodziłki (pośrodku tej wsi znajdziemy małą molenkę, świątynię staroobrzędowców z 1921 roku). To jeden ze szlaków biegnących przez pierwszy w Polsce, utworzony w 1976 roku, Suwalski Park Krajobrazowy o wybitnych walorach krajoznawczych, przyrodniczych i widokowych. Zabytki pochodzenia jaćwieskiego można poznać i podziwiać w Muzeum Okręgowym w Suwałkach oraz w Izbie Pamięci Jaćwieskiej w Szurpiłach.

Szlak z Szurpił do Góry Zamkowej i zrekonstruowanego grodu jaćwieskiego jest przejrzyste oznakowany i opisany na tablicach informacyjnych ustawionych przy 8 przystankach edukacyjnych. Wspomniana rzeczka Szeszupa, niewielka, ale bardzo malownicza w terenie, ma zaledwie 27 kilometrów i uchodzi do Niemna poza północną granicą Polski – na terenie rosyjskiego Obwodu Kaliningradzkiego. Jej nazwa tłumaczona jest z litewskiego jako „sześć rzek”.

Dzieje Jaćwingów, inaczej Sudawów, wpisane są w tysiącletnią historię terenów dzisiejszej Suwalszczyzny, starodawnej krainy Sudawii. Niestety, dotychczasowe badania nie dają odpowiedzi na pytanie, dlaczego Jaćwingowie zniknęli z tych okolic, pomimo posiadania licznych wojowników i umocnionych grodzisk.

Dziś okolica, która otaczała grodzisko na Górze Zamkowej oraz Izba Pamięci w Szurpiłach, są atrakcją turystyczną, licznie odwiedzaną przez turystów (kilka tysięcy osób rocznie). Łatwo tam dotrzeć wyraźnym szlakiem rowerowym i samochodem, który można na czas wycieczki zostawić na jednym z dwóch parkingów – w Szurpiłach lub w połowie szlaku na Górę Zamkową.

Tomasz Kowalik

„We włości księcia Sziurpy”, przewodnik krajoznawczy, tekst: Marcin Engel, Cezary Sobczak, Ludwika Jończyk; projekt: Państwowe Muzeum Archeologiczne, Suwalski Park Krajobrazowy, Powiat Suwalski; wydawca: Gmina Jeleniewo; Szurpiły 2014.

Krajoznawstwo niebanalne

Jest wiele bram do starej puszczy

Towarzystwo Krajoznawcze Krajobraz jest nieznane. Mało kto o nim słyszał, a jeszcze mniej liczni mieli z nim do czynienia. Ma nielicznych członków, o jego niebanalnej działalności wie niewielu, a jeszcze mniej liczni je ożywiają swoją pasją krajoznawczą. W 2018 roku, dzięki ich nietypowemu podejściu do przestrzeni, tradycji i pojmowania krajoznawstwa, ukazał się osobliwy przewodnik „Po kolei. Przewodnik podwarszawski”*. Na początku 2019 roku w ręce czytelników trafił drugi podręcznik dla amatorów odkrywania nieznanego – „Przypuszcza. Półprzewodnik po Puszczy Białowieskiej i okolicach”***. Powstały dlatego, że ich autorzy spożytkowali stary, doskonale sprawdzony pomysł – *Sięgaj, gdzie wzrok* (a częściej też rozum) *nie sięga*. Zalecają: wędruj po kraju mając za przewodnika ciekawość – wtedy możesz dopiero poznać to, co najważniejsze, niebanalne, osobliwe, unikalne. A w istocie – nieznane albo pogrzebane w niepamięci i po prostu zapomniane, a przecież tak ważne dla naszej tożsamości.

Tak jest i w tym przypadku – niby o Puszczy Białowiejskiej, tym polskim pralesie, wiemy już wszystko, ale zazwyczaj nasza wiedza kończy się na samej nazwie i kryjącym się za nią rezerwacie uratowanych przed wyginięciem żubrów. Czasami wybucha awantura, jak przed wielu laty – z powodu roli tzw. Century, czyli angielskiej spółki, która jest pamiętana z powodu rabunkowej wycinki drzew w Białowieży – albo jak niedawno – dlatego, że do urządzania „na swojską nutę” zabrał się – i na długo będzie zapamiętany(???) – kolejny minister środowiska, któremu dobro światowej klasy ostoi przyrodniczej kojarzyło się z nowoczesną technologią rąbania drzew żywiących małe korniki. Autorzy tego nietypowego półprzewodnika daleko odchodzą od wiekowego schematu pokonywania przestrzeni od punktu A do punktu B, z obiadem po drodze. Na szczęście nie prowadzą kandydata na turystę czy krajoznawcę za rękę, po znakowanym szlaku i wydeptaną (co raz częściej asfaltową!!!) drogą. To 12 reportaży nie z Puszczy jako takiej, ale z miejsc, które czasem mało komu kojarzą się z tym naturalnym zabytkiem. Do tego 4 reportaże fotograficzne, tak odmienne od klasycznego portretowania prastarych drzew, nieprzeniknionych ludzkim wzrokiem ostępów.

Doczytamy się zatem opowieści o puszczańskich drogach, o hajnowskim lekarzu-astronomie-społeczniku, o stacji terenowej obrączkowania ptaków nad Zalewem Siemianówka, o artystach rzeźbiących w drewnie, czasem także piłami łańcuchowymi, o politycznej karierze robotniczej, przemysłowej, ale też kulturalnej Hajnówki, zwłaszcza jako miejscu festiwali chórów i muzyki cerkiewnej. Dowiemy się także o urodzonym w Białowieży (potem amerykańskim) Żydzie – Dawidzie Waldshanie. Innymi słowy – to, co uznawane jest od wielu dziesięcioleci za atrakcję turystyczną, za perłę polskiej i europejskiej przyrody, ma wiele innych barwnych ubiorów. Tworzyła je osobliwa materia utkana z wiedzy, jakiej próżno szukać w banalnych, schematycznych, by nie powiedzieć – prostackich przewodnikach, folderach, programach wycieczek prywatnych czy organizowanych przez biura podróży pod hasłem *Zwiedzajcie Puszczę*.

Otóż autorzy tego półprzewodnika skupieni w Towarzystwie Krajoznawczym Krajobraz twierdzą z całą mocą swego przekonania, że Puszcza Białowiejska to nie tylko stary las, a w nim żubry i wilki. To są też jej okolice, obrzeża, opłotki, uśpione gdzieś w puszczańskim gęstym lasie sprawy wielkie, ale też banalnie proste, nie całkiem znakomite, a przez to ciekawe, ożywiające nasze myślenie o tej części Polski. We „Wstępie” czytamy zachętę: *Teksty zawarte w tej książeczce odbiegają od tego, na co jesteśmy gotowi, czytając klasyczne przewodniki. Nie przyznajemy gwiazdek, nie prezentujemy z góry opracowanych tras.[...] Piszemy... o puszczańskich trybach i ścieżkach, które pamiętają jeszcze tętent królewskich koni...*

Półprzewodnik „Przypuszcza” wraca po myśli autorów do wydanego rok wcześniej przewodnika podwarszawskiego „Po kolei”. Zachęca, ba – może nawet nakazuje głosem rozsądku: *Sprawmy sobie niebanalną przygodę z przestrzenią, tradycjami regionu, faktami z bogatej białowiejskiej księgi wiedzy o tej krainie*. To wydawnictwo TK Krajobraz proponuje odmianę naszego patrzenia i widzenia tego, co unikalne. A może nawet tajemnicze, zakryte, a może, jak w porzekadle: *Znacie? Znamy! No to posłuchajcie!* (Popatrzcie jeszcze raz, inaczej...). Moim zdaniem, warto spróbować, dla przyjemności czytania i by potem sprawdzić, jak jest w rzeczywistości. To też krajoznawstwo.

Tomasz Kowalik

* „Po kolei. Przewodnik podwarszawski”, praca zbiorowa, przedstawiona w „Na Szlaku” e-137(333).

** „Przypuszcza. Półprzewodnik po Puszczy Białowiejskiej i okolicach”, praca zbiorowa, koordynacja projektu – Dorota Borodaj, Jan Wiśniewski, Wydawca TK Krajobraz, Warszawa 2019.



Martwica z Grochowej

Znalazłam „kamień”. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo mieszkam w Sudetach i mam blisko do wszelkich kamieniołomów. Jednak ten okaz różni się od wszystkich wokół. Wygląda jak wypróchniały pień albo jak kawałek kopca termitów. Jest ażurowy, można łatwo złamać jego delikatne ścianki wokół otworków. Potrafię odróżnić podstawowe skały występujące wokół mnie, ale nie „coś takiego”. Znalazłam go na terenie kopalni magnezytu „Grochów” niedaleko Żąbkowic Śląskich, gdzie chciałam obejrzeć jeszcze pozostałości sztolni, zanim znikną w wyniku eksploatacji minerału



metodą odkrywkową (w XIX wieku magnezyt był wydobywany metodą drążenia sztolni). Na teren czynnej kopalni nie można wejść, ale z daleka pozostałości można jeszcze zobaczyć.

„Kamień” zabrałam do domu, wyplukałam drobny materiał o strukturze gliny. Nawet myślałam, że moje znalezisko jest pochodzenia organicznego, że jest to drewno, ale nie, bo w dotyku jest inne. Napisałam więc do prowadzących moją ulubioną stronę (<https://agatowcy.pl/>) poświęconą geologii i geoturystyce – Agaty Paclawskiej-Pawlik i Tomasza Pawlika – z zapytaniem o moje znalezisko. Oczywiście, szybko otrzymałam odpowiedź:

Jest to tzw. „martwica” krzemionkowa (w cudzysłowie, ponieważ nie do końca spełnia ona geologiczną definicję martwicy). Kopalnia w Grochowej leży na obszarze masywu Braszowic-Brzeźnicy, zbudowanego w znacznej części z serpentynitów – specyficznych, ciemnych skał metamorficznych. Wskutek wietrzenia serpentynitów doszło do rozkładu chemicznego minerałów, z których uwolnione zostały magnez i krzemionka. Magnez został następnie wtórnie wytrącony w postaci węglanu magnezu, czyli magnezytu (stąd jego złożę w Grochowej), a z kolei krzemionka utworzyła gniazda i żyły chalcodonu, drobnokrystalicznego kwarcu i opalu, które miejscami bardzo mocno impregnują zwietrzelinę serpentynitową. Czasami zdarza się, że ten ilasty materiał wietrzeniowy zostaje wymyty i zostają tylko szkieletowe struktury zbudowane z wzajemnie przecinających się żyłek minerałów krzemionkowych, w mineralogiczno-kolekcyjnym



slangu nazywanych „martwicą” krzemionkową lub chalcodonową. I Pani właśnie coś takiego znalazła:).

Teraz moja „martwica” leży sobie za oknem (na półce na kwiaty jest jej dobrze) i uzmysławia mi, z jak dziwnych minerałów składa się nasza Ziemia.

Alicja Kliber



Camping nr 42 PTTK
48-385 Otmuchów, ul. Plażowa 6
tel. 077/431-52-25
www.camping-otmuchow.pl
e-mail: camping.otmuchow@wp.pl



NA SZLAKU - magazyn turystyczno-krajoznawczy

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wydawane przez Oddział Wrocławski PTTK od 1987 r.
Magazyn odznaczony "Złotą Honorową Odznaką PTTK" w 2002 r. oraz Odznaką Honorową "Za Zasługi dla Turystyki" przyznaną przez Ministerstwo Sportu i Turystyki w 2012 r.



Adres Redakcji:
Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław

Redaktor Naczelny: **Piotr Dacko**
Redakcja techniczna: **Piotr Dacko**
Korekta i redakcja tekstów: **Dorota Dembkowska**
Webmaster: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: Juliusz Wyslouch, Krzysztof Tęcza,
Tomasz Kowalik, Ryszard M. Remiszewski, Janusz Fuksa,
Bartosz Skowroński, Zbigniew Piepiora, Krzysztof Pik,
Jacek Mielcarek



Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane.

Redakcja zastrzega sobie prawo adyustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej.

Przedruki tylko za podaniem źródła.

Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

ISSN 1230-9931